Kurjer literacko naukowy

ROK IV. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 4

Charakter Robespierre'a

28 lipca 1794

W swej „Rewolucji Francuskiej" Carlyle, który lubi używać homeryckich epitetów zdobiących, nazywa Robespierre'a raz, jak nazywali go współcześni, nieprzedajnym, to znów od jego cery zielonym, jak fale morskie. Szydzi z jego błękitnych fraków i pięknie ułożonych żabotów, z jego wciąż powołującej się na Cnotę (przez duże C) wymowy, z jego takich występów, jak podczas święta Najwyższej Istoty. Carlyle lubuje się w kontrastach. Więc mając zamiar poświęcić Robespierre'owi bodajże pierwszą życzliwą wzmiankę — pośmiertną, tak opisuje ostatnie jego chwile:

> Wystarczy, aby Fouquier (Tinville, słynny prokurator za terroru) stwierdził tożsamość. Jego więźniowie już wyjęci z pod prawa! O czwartej popołudniu ulice Paryża zatłoczone, jak nigdy. Od Pałacu Sprawiedliwości do Placu Rewolucji — bo tym razem znowu w tę stronę jadą furgony — jedna gęsta, ruchliwa masa; wszystkie okna pełne, same dachy i linje, na których spotykają się kondygnacje dachówek, zakwitają pączkami ludzkiej ciekawości — wśród dziwnego wesela. Toczą się furgony śmierci ze swą pstrą porcją wyjętych z pod prawa, z jakimi dwudziestu trzema ludźmi od Maksymiljana (Robespierre'a) do mera Fleuriot'a i szewca Simon'a. Wszystkie oczy na furgonie Robespierre'a, gdzie on ze szczęką, obwiązaną brudnem płótnem, leży w nicestwię z pół nieżywym bratem i pół nieżywym Henriot'em (wszyscy trzej usiłowali popełnić samobójstwo); ma się pod koniec ich „siedemnastu godzinom" agonji. Żandarmi zwracają w jego stronę ostrza szabel, pokazując ludowi, który to. Jakaś kobieta wskakuje na furgon, zaciskając jedną rękę na jego bocznej ściance, a drugą wznosząc, jak Sybilla. Woła: „Twoja śmierć upaja mnie radością!" Otworzył oczy Robespierre. „Zbrodniarzu, zapadnij się w piekło wraz z przekleństwami wszystkich żon i matek!" — U stóp szafotu ułożyli go na ziemię, aby czekał swej kolei. Gdy go podniesiono, jego oczy otworzyły się znowu; spostrzegły rudawe żelazo. Samson zerwał z niego frak (błękitny w którym paradował podczas święta Najwyższej Istoty); zerwał brudne płótno z jego szczęki; szczęka opadła bezwładnie, krzyk wyrwał mu się z gardła — ohyda dla uszu i dla oczu. Samson, nie możesz przesadzić w pośpiechu! 1).

I teraz nastąpi kontrast:

> Gdy Samson dokonał dzieła, buchnął z tłumu jeden za drugim okrzyk przyklaskujący; okrzyk, co brzmi dalej nietylko nad Paryżem, ale nad Francją, ale nad całą Europą aż do obecnego pokolenia. Zasłużenie, ale i niezasłużenie. O najnieszczęśliwszy z adwokatów z Arras, czyś był gorszy od innych adwokatów? Nie żył w owym wieku mąż skrupulatniejszy wedle swych formułek. swego Credo i swego żargonu, swych zacności, dobroci, swych rozkoszy cnoty i tym podobnie. Mąż zdolny w jakimś szczęśliwszym, lepiej uporządkowanym wieku stać się jedną z tych nieprzedajnych, sztywnych figur za wzór stawianych i mieć marmurowe tablice oraz pogrzebowe mowy. Jego biedny gospodarz, stolarz z ulicy St. Honoré kochał go, brat jego zań umarł. Niech Bóg będzie miłosierny dla niego — i dla nas!

Tak nie pisze ktoś, kto chce swym czytelnikom postawić przed oczyma potwora moralnego.

FANATYK DEMOKRACJI

Carlyle tworzył swą prozaiczną epopeję o wielkiej rewolucji sto lat temu. Posłuchajmy teraz innego Anglika(francuskiego pochodzenia), Hilarego Belloc'a, który analizował jej postaci i dzieje w r. 1911.

Belloc bardzo słusznie mówi, że istniały dwa obrazy Robespierre'a, zarówno za jego czasów, jak później — Robespierre legendy i Robespierre rzeczywistości. Ale ta różnica, jak widać z dalszego toku wywodów, odnosi sie jedynie do wpływu Robespierre'a na przebieg wypadków. Belloc uważa go za figuranta, pod którego firmą rządzili inni członkowie Komitetu Publicznego Ocalenia, przedewszystkiem Carnot. Ich dziełem był terror, a Robespierre jedynie pragnął być popularnym i wzdrygając się przed terrorem, nie występował przeciw niemu jawnie, ponieważ sądził, że sprzeciwiłby się opinji większości narodu. Za tę omyłkę zapłacił głową. Kwestję udziału Robespierre'a we władzy rozstrzygającego, częściowego lub drobnego, musimy zostawić tu na boku. Przytoczmy teraz ów „legendowy" obraz charakteru Robespierre'a, który Belloc uznał za prawdziwy — z wyjątkiem jego władzy:

> Wyobraźcie sobie człowieka najszczerzej wyznającego z przekonania czystą doktrynę demokratyczną, człowieka, który nie myślał o niczem prócz urzeczywistnienia tej doktryny. a który nigdy nie poświęcił swego dążenia do jej urzeczywistnienia w państwie jakiejkolwiek osobnej korzyści. Człowiek ten, mając zaufanie, a ostatecznie ubóstwienie narodu staje się coraz bardziej potężnym. Wchodzi do ciała rządzącego t. j. do Komitetu Ocalenia Publicznego, jest panem i wewnątrz i nazewnątrz, tego ciała, a władzy swej używa do ustalenia idealnej demokracji, która ma uznawać istnienie Boga i opierać się na cnocie obywatelskiej. Aby ustalić ten ideał musi uciec się do terroru. Odkrywa, że liczba ludzi odstrychujących się od tego ideału wciąż rośnie, i karze ich śmiercią. Rzeź zaczyna być potworna; porywa najlepszych demokratów; ostatecznie już nie można je znieść dalej. W Komitecie buntują się przeciw niemu jego bezpośredni podwładni, zostaje wyjęty z pod prawa, bezskutecznie usiłuje wywołać rewolucję ludową Paryża na swoją korzyść, zostaje stracony, a jego system terroru upada.

Dzielę zdanie Belloc'a, że Robespierre nie był duszą terroru. Niewątpliwie jednak uważał się za jego duszę. Stąd obraz jego charakteru nie zależy od tego, czy od lata 1793 do lata 1794 roku rządził we Francji on, czy kto inny. Sądzę, że gdyby zmartwychwstał i gdy by go zapytano, co myśli o sobie, odpodziałby mniej więcej tak samo, jak Belloc. Ale obraz byłby wyidealizowany.

FRANCUSCY PROFESOROWIE

Gdy w Trzeciej Rzeczypospolitej po sprawie Drayfussa przyszły do steru żywioły radykalne, zaczęto żywić przekonanie, że stan rzeczy we Francji XX. wieku opiera się na tradycjach wielkiej rewolucji. Stąd zaczęto jej dzieje, nawet dzieje terroru przedstawiać w o wiele lepszem świetle, niż poprzednio. Zaczęto szukać bohaterów pomiędzy największymi z trybunów ludu, którzy działali w Konwencie. Każdy wybierał sobie jedną postać, której przypisywał wszystko, co pozostało dobrego po tym krwawym okresie (a więc ocalenie Francji przed najazdem i wydobycie z niej potężnych sił ukrytych). Reszta, zasługująca na potępienie, była dziełem innych, na których barki zrzucano okrucieństwa, zdzierstwa, pompatyczne bluźnierstwa, intrygi i t. d.

Przez jakiś czas był bardzo rozpowszechniony kult Danton'a — zaświadczyć może pomnik w Paryżu i dramat Romain Rolland'a. Widziano w Dantonie nieustraszonego partjotę, obdarzonego wszekiemi talentami męża stanu. Robespierre nie mógł dobrze wyjść na tym kulcie jako główny sprawca jego zguby. Albert Mathiez, który wystąpił w jego obronie, woła z emfazą: Nie wierzcie Aulard'owi, to „osobisty wróg Robespierra". Zato sam pisze nieledwie jego apoteozę. Jest to w związku ze skrajnym demokratyzmem i wstrętem do religji objawionej, który Mathiez dzieli ze swym bohaterem.

W pewnych wypadkach posuwa on się tak daleko, że popada w sprzeczności: Zarzucano Robespierre'owi, że wynalazł kult Najwyższej Istoty dla własnych celów. Ależ — mówi Mathiez — był on w tym czasie bezsilny, istniała przeciw niemu opozycja w Komitecie bezpieczeństwa publicznego, a uroczystość na cześć Najwyższej Istoty nawet ją wzmocniła. Robespierre poparł tylko cudzy wniosek. Chciał pognębić katolicyzm jego własną bronią. — A więc miał jednak jakieś własne cele..

Wedle Mathiez'a Robespierre nie był duszą terroru, był mądrym i uczciwym republikaninem. Tu sąd zgadza się mniej więcej z sądem Belloc'a. Mimowoli jednak musi Mathiez stwierdzić chorobliwą ambicję Robespierre'a który wedle niego ściągnął na siebie zgubę, pokłóciwszy się z Carnot'em. Przyczyną niezgody było, że chciał kierować operacjami wojennemi.

NOWA MONOGRAFJA

Nowa książka o Robespierze, napisana przez Anglika, Reginalda Somerset Warda, zajmuje się nie tyle historją, ile psychologją. Autor zbadał sumiennie wszystko, co mogło przyczynić się do wyjaśnienia rozwoju duchowego tragicznego trybuna i na tej podstawie nazwał swą monografję studjum o stopniowem pogarszaniu sie charakteru.

MŁODOŚĆ GÓRNA I CHMURNA

Robespierre pochodził z rodziny prawniczej, jego przodkowie byli sędziami i adwokatami. Stąd owa chęć do ujmowania wszystkiego w normy ustawy, od której niewolno nigdy odstąpić, której litery musi się z całą bezwzględnością przestrzegać. Stąd to wznoszenie się ponad wszelkie uczucia w praktyce wyzbycie się wszelkiego uczucia.

Nad młodością Robespierre'a zaciężyła hańba ojca, który przypieczętował różne nieuczciwe postępki tajemniczem zniknięciem. Maksymiljan czuł się głową rodziny. Pragął zmazać plamę i z tego powodu wciąż myślał o sobie. Z drugiej strony czuł się skrzywdzonym przez społeczeństwo. Kimkolwiek był ojciec i cokolwiek zrobił, wina nie powinna spadać na dzieci. Taka była teza pierwszej pracy literackiej Maksymiljana. Zaczął on przeciwstawiać siebie chłodną nieżyczliwością tchnącemu otoczeniu i zwolna coraz bardziej zaczął tchnąć taką samą chłodną nieżyczliwością. Wszędzie upatrywał chęć ubliżenia sobie — i tu było źródło jego niesłychanej dumy i próżności. Na każdym kroku wietrzył zasadzkę, a wiadomo, że lęk czyni okrutnym.

Drugim, równie doniosłym czynnikiem, był Rousseau, który Maksymiljanowi zastąpił wszelką religię. Wcielić w życie teorje Rousseau'a! Uszczęśliwić ludzkość bez względu na to, czy ona chce, czy nie chce! Pokazać jej, że młody, lekceważony adwokat z Arras, z którego pokpiwają jako z doktrynera, potrafi stworzyć nową epokę w dziejach, epokę równości, wolności, braterstwa! Oto były myśli, jakie płoszyły sen z oczu Maksymiljana. Świat jest zły — trzeba mu przemocą narzucić cnotę. A Maksymiljan przy swym braku fizycznych namiętności, przy swem zapatrzeniu w cele ogólne czuł się cnotliwym, czuł się wyższym nad społeczeństwo. I zwolna zaczął siebie utożsamiać z ideałem, jaki go ożywiał. Czuł się jedynym człowiekiem, powołanym do jego wcielenia w życie.

ROBESPIERRE JAKO DZIAŁACZ POLITYCZNY

Tego ideałem żyjącego egotystę, pełnego nieufności do ludzi i oschłego, wypadki powołały na szeroką arenę. Obdarzony logicznem rozumowaniem i płynną wymową zaczął wywierać silne wrażenie na kolegów z klubu jakobinów. Gdy schodził z mównicy, odzywały się wkoło szmery uwielbienia

---

1) Wyrazy w nawiasach moje.

— a on upajał się niemi i wierzył pochlebcom. Zupełnie podobna atmosfera otaczała go w domu. Gospodarz i jego rodzina prześcigali się w uprzejmościach i wyrazach czci, a Maksymiljan spoglądając na swoje portrety i popiersia słuchał muzyki — i obmyślał sposoby uszczęśliwienia ludzkości. Dla wypoczynku czytał Racine'a.

Tymczasem dookoła panował zamęt. Obce armje zagrażały Francji, całe jej olbrzymie przestrzenie ogarnął płomień wojny domowej. Na terenie Konwentu wyłaniają się coraz nowe dążenia — a on, Robespierre nie uznaje żadnego innego sposobu zbawienia Francji prócz własnego. Zamęt wyzyskują różne ptaki niebieskie, robiąc nieczyste interesa, oszukując na dostawach, łupiąc zajęte kraje, korzystając z dewaluacji. Zwolennicy starego porządku porozumiewają się z nieprzyjacielem, cieszą z jego postępów... A wśród tego morza nieprawości twardo stoi skała Cnoty, na niej on, Robespierre. Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Niech ginie dla wielkiego ideału. Cnota to ja. I w imię cnoty wszystko wolno.

PRECZ Z LITOŚCIĄ!

Kamill Desmoulins, który niegdyś szukał chluby w przydomku prokuratora latarni, nawołuje, aby stworzyć „Komitet miłosierdzia". Kobiety wysyłają do Konwentu doputację, błagając o litość dla więźniów. Cóż, kiedy Cnota a terror to jedno w tych czasach walki, nieuczciwości i niebezpieczeństw, czyhających na ludzi, co opowiedzieli się przy cnocie, przedewszystkiem na największego z nich, na samego Robespierre'a... I Robespierre stawia wniosek, aby stworzyć Komitet sprawiedliwości któryby śledził z knowaniami i tępił je z całą bezwzględnością. Danton zachwiał się, Danton coś również mówi o litości, Danton'a otaczają aferzyści, Danton jest zdrajcą — precz z głową Danton'a....

Jeżeli zastanowimy się nad tą psychiką, to dojdziemy do przekonania, że ostatecznie wszystko jedno, czy Robespierre rzeczywiście rządził Francją czy nie. W każdym razie sądził, że nią rządzi i chciał rządzić tak, jak rządzono w czasie terroru. Idealista zrezygnował z przekonywania ludzi, z przemawiania do ich najszlachetniejszych uczuć, stał się zwolennikiem gwałtów. Wróg tyranów przemienił się w największego tyrana. To jego tragedja wewnętrzna, którą nieubłagana konieczność musiała ukoronować tragedją zewnętrzną, 9-tym Termidora. Ward nie wyłącza możliwości, że targany piekłem, jakie miał w duszy, Robespierre doszedł do paranoi i zginął już jako człowiek obłąkany, ale skłania się raczej ku odrzuceniu tej teorji.

CZY ROBESPIERRE USIŁOWAŁ POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO?

W przedstawieniu wypadków historycznych idzie przeważnie za wynikami badań Mathiez'a i zbyt bezkrytycznie przyjmuje od niego obraz Danton'a „zezwalającego na każdą zbrodnię, zawikłanego w każdy spisek, obiecującego opiekę łotrom, a wierność patrjotom. zręcznie wyjaśniającego swą zdradę pretekstem dobra publicznego".

Tylko w opisie wypadków nocy z 9 na 10 Termidora (27 na 28 lipca) 1794 Ward odstępuje od poglądów Mathiez'a Jak wiadomo, Robespierre'a uwięziono rannego z szczęką strzaskaną kulą pistoletu. Wprawdzie żandarm Méda chwalił się że to on zadał tę ranę, i zawdzięczał nieprawdopodobnemu opowiadaniu początek swej karjery (umarł jako baron cesarstwa). Atoli przeważa między historykami opinja, że Robespierre postrzelił się sam, chcąc popełnić samobójstwo Tego też zdania jest Mathiez. Natomiast Ward uważa samobójstwo za psychologicznie niemożliwe i stawia własną hipotezę: Siedzący obok Robespierre'a przyjaciel jego i współpracownik Lebas odebrał sobie życie wystrzałem pistoletowym. Można przypuszczać że Robespierre'a zraniła ta sama kula.

Hipoteza jest dość nieprawdopodobna, zamach samobójczy zaś zgadza się ze sposobem myślenia człowieka, który uważał się za równego Brutusowi, a widział, że wszystko stracone.

ROZROST PIERWIASTKÓW OSOBISTYCH

Rzetelną zasługą Warda są nie przyczynki do dziejów wielkiej rewolucji, ale świetnie skreślony, prawdą psychologiczną tchnący zarys duchowej ewolucji Robespierre'a, w którego duszy coraz bardziej rozrastały się pierwiastki osobiste, aż zgłuszyły i zabiły wszystko inne. To najlepsze z dotychczasowych rozwiązanie zagadnienia Robespierre'a.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

500-lecie wielkopolskiej parafji

Podniosłe chwile przeżywał niedawno Ostrów Wielkopolski, którego ludność w przepięknych uroczystościach w obecności Ks. Kardynała Prymasa Hlonda obchodziła 500-lecie swej parafji. Uroczystości te były głębokim kultem dla tych postaci, które w ciągu pięciu wieków przesuwały się poprzez ożywcze promienie parafji ostrowskiej, jak niemniej były stwierdzeniem, iż społeczeństwo miasta Ostrowa łączy się ściśle z Bogiem na podstawie zasad wiary i obyczaju katolickiego. Zewnętrznym tego wyrazem była uchwała Rady Miejskiej miasta Ostrowa, powzięta na uroczystem posiedzeniu, w czasie jubileuszu parafji ofiarująca miasto Ostrów Najśw. Sercu Jezusowemu. „Pomni - głosi ona - iż w dobrej i złej doli Ostrowska Parafja z miastem i narodem wspólnie błogosławieństwa losu, jako też klęski, dopustu Bożego spadające, przeżywała, a Naród on Polski w wierności i służbie Bogu i Ojczyźnie utrzymywała, ...„któreto postanowienia i uchwałę dnia dzisiejszego Miastu i Narodowi obwieszczają i podpisami swemi stwierdzają".

Ostrów, który wśród miast wymieniony jest już w r. 1404, posiadał wtedy swój kościół, który należał jednak do parafji w Wysocku. W trzydzieści lat później, gdy Ostrowianie spowodu napadów zbójeckich, wielkich wód oraz dalekiej drogi nie mogli wypełniać swych obowiązków parafjalnych, uzyskali od Ks. Jerzego z Ostrowa dokument, zawierający uposażenie nowej parafji w Ostrowie. Na utrzymanie plebana przeznaczył kolator jeden łan z domem i podwórzem przy kościele, z ogrodem i łąką, położonemi wśród ogrodów i łąk mieszczańskich, dalej wspólne pastwiska i wolny wrąb do lasów pańskich wreszcie dziesięcinę snopkową z trzech okolicznych folwarków. Skromne to uposażenie nowej parafji zostało rozszerzone w kilka lat później dotacją ówczesnego właściciela Ostrowa, Mikołaja z Ociąża. Przez następnych lat 60 przeszło, dowiadujemy się niczego o kościele ostrowskim. Pewne światło na dzieje parafji rzuca dokonana w r. 1508 wizytacja Jana z Góry, lecz dopiero druga skolei wizytacja, dokonana w roku odsieczy Wiednia przez Jana Gnińskiego w pełniejszem świetle przedstawia parafję ostrowską. Kościół ówczesny zbudowany był z drzewa, wnętrze miał mniej ozdobne, strop prosty, niesklepiony. — Plebanja składała się z dwu izb, jednej komory i piwnicy. W pobliżu zabudowań gospodarczych stał drugi budynek, zamieniony na mały browar, przy którym znajdował się stawek rybny. Pod egidą parafji prowadzoną była szkółka parafjalna oraz szpital.

W dwa lata po wizytacji ks. Gnińskiego Ostrów przeszedł z rąk Kielczewskich do Leszczyńskich, z których Rafał, ojciec króla Stanisława, był jego właścicielem. Stary drewniany kościół, trawiony zębem czasu chylił się ku upadkowi, to też właściciel miasta, ks. Radziwiłł rewersem, wystawionym w r. 1779., zobowiązał się wystawić nowy kościół parafjalny drewniany na podmórowaniu, który też niebawem w kształcie bazyliki został wybudowany. Sklepienie głównej nawy było beczkowe, nawy boczne miały płaskie sufity, dach kryty szkudłami.

Ciężkie chwile przeżywała parafja po powstaniu z r. 1848. Komendarzem w Ostrowie był wówczas ks. Ruszkiewicz. Władze pruskie od samego początku niechętnem okiem spoglądały na jego działalność. Po ukończeniu walk powstańczych landrat ostrowski wygotował przeciw wymienionemu proboszczowi akt oskarżenia, w którym zarzucał mu, że naprowadził na miasto powstańców i że na pogrzebie zabitych wygłosił podburzającą mowę, a w dokumentach ich zejścia pisał o nich: „zamordowani przez wojsko pruskie". W okresie Kulturkampfu parafja ostrowska pozbawioną była swego proboszcza.



Kościół w Ostrowie w obecnym stanie

Gdy w r. 1904 liczba dusz parafji ostrowskiej doszła do 15 tysięcy, a stary kościół już był za mały, zaczęto tegoż roku budować nowy, murowany. Nastąpił złoty okres w dziejach Ostrowa i parafji, który zaznaczył się największym w jej dziejach rozkwitem życia religijnego, organizacyjnego i kulturalnego. Ośrodkiem ożywionego ruchu umysłowego stał się Parafjalny Dom Katolicki, w którym urządzano wykłady publiczne, organizowano koncerty i przedstawienia amatorskie. Znalazł w jego murach pomieszczenie oddział miejscowy Towarzystwa Czytelń Ludowych, tak, że Dom ten nazywany był przez ludność niemiecką „eine Pflanzstätte des Polentums". Rozwinęła się w jego murach świetnie tajna organizacja narodowa, a młodzi konspiratorzy składali przysięgę w tamtejszej kaplicy. W tym czasie ks. Zborowski na terenie parafji założył jedne z pierwszych na ziemiach polskich „Ogródki Dziecięce". Dzięki planowej pracy parafjalnej mieszczaństwo ostrowskie, polskie i bardzo patrjotyczne, rosło szybko w potęgę materjalną, a dzięki wysiłkom miejscowego duchowieństwa, lekarzy, adwokatów i księgarzy podciągało się równocześnie szybko ku wyżynom kultury narodowej i europejskiej. Dla tych zwłaszcza, którzy duszą młodzieńczą wchłaniali w siebie owe cenne podniety umysłowe i kulturalne, przeżycia owych czasów stały się trwałą na przyszłość zdobyczą.

Mimo niesłychanego ucisku katolicyzm i polskość w Ostrowie wkraczały zwycięsko w progi niepodległego państwa polskiego. Po wojnie zaszły radykalne zmiany w parafji ostrowskiej. Odłączono od niej parafję w Jankowie Przygodzkim z osobnym kościołem parafjalnym. Dla uwiecznienia bohaterskiej postaci ks. kardynała Ledochowskiego, który w czasie kulturkampfu spędził dwa lata (1874 — 1876) w więzieniu ostrowskiem, wzniesiony został ku jego czci pomnik, który stanął po lewej stronie kościoła. Obecnym proboszczem parafji jest ks. Ludwik Jarosz, wieloletni sekretarz generalny w Archidiecezjalnym Instytucie Akcji Katolickiej.

Parafja ostrowska należy w archidiecezji poznańskiej do największych, stan jej bowiem liczebny wynosi zwyż 31 tysięcy dusz. Mieszany zespół wiernych wymaga łączenia duszpasterstwa wielkomiejskiego, podmiejskiego i wiejskiego. Niezależnie od tych trudności życie religijne w tej parafji pozostaje na poziomie niezwykle wysokim, to też zajmuje ona wśród innych przodujące miejsce. Dużą pomocą w pracy duszpasterskiej są liczne w parafji ostrowskiej bractwa, a praca społeczno - religijna skupia się na terenie licznych stowarzyszeń, zarówno na terenie miejskim, jak i po okolicznych wsiach.

Już niejednokrotnie w czasie zjazdów historyków zwracano uwagę na potrzebę prowadzenia badań z zakresu wewnętrznej historji Polski, uwzględnienia historji lokalnej, zatem kościołów, klasztorów, szkół, miast wsi itd. Poważnym przyczynkiem w zakresie tego rodzaju zagadnień jest rozprawa naukowa pt. „500-lecie parafii". (1434—1934). Ostrów 1935., pióra znanego historyka, Dra Andrzeja Wojtkowskiego, Docenta Uniwersytetu Poznańskiego i Dyrektora Bibljoteki Raczyńskich. Autor całego szeregu gruntownych i poważnych prac z zakresu politycznych i kulturalnych dziejów Wielkopolski i Poznania w w. XIX, zwłaszcza z epoki kulturkampfu, posiada już za sobą dzieła tej wysokiej miary, jak: "Edward Raczyński i jego dzieło" oraz „Historja Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu", pozatem cały szereg większych i mniejszych prac.

Ostatnio zainicjował pracę nad „Bibljografją Wielkopolski" któreto dzieło, zakrojone na szersze rozmiary, pod wytrwałym kierunkiem świetnego historjografa Ziem Zachodnich i wybitnego znawcy historji Wielkopolski, wyrośnie do granic pomnikowego, naukowego przedsięwzięcia. Dodać wkońcu należy, że wybitny ten historyk związany jest drogiemi wspomnieniami z naszem miastem, wszak w pamiętnym roku wojennym, gdy ważyły się losy Lwowa i jego przynależności do Macierzy, Dr. Andrzej Wojtkowski jako szeregowiec 1 pułku Strzelców Wielkopolskich, przysłanych na odsiecz Lwowa przez wierną Wielkopolskę, wziął udział w całej kampanji, w której żołnierz wielkopolski w znacznej mierze przyczynił się podówczas do powodzenia oręża polskiego.

a. m.

Nieco o polskich ziołach leczniczych

Mniej więcej przed 7 laty polskie rolnictwo znalazło się w wielce krytycznem położeniu. Dziwnym trafem zaczęły padać wszystkie rdzennie polskie warsztaty pracy, polskie rzemiosło, polski kupiec, a przedewszystkiem rolnik. Wskutkach ziemia polska i nieruchomości zaczęły przechodzić w obce ręce, wśród polskiego społeczeństwa wzrosło bezrobocie a na wsi nędza. W ten sposób zrodził się w Polsce problem rolniczy.

Na ten temat rozwinęła się obszerna dyskusja w prasie rolniczej i codziennej, szuka się lekarstwa dla uzdrowienia naszego rolnictwa i znaleziono je w formie oddłużenia. Wątpić należy, czy oddłużenie przeprowadzone kosztem konsumenta przyniesie korzyść rolnictwu i doprowadzi do celu. Rolnictwo leczyć należy od wewnątrz.

Dotychczas nauka rolnicza nawoływała do intensywności w rolnictwie, która wymaga wielkiego kapitału nakładowego, bogatego inwentarza martwego i żywego i bogaciła zagranicę, stwarzając wkońcu tak zwaną klęskę urodzaju. Podniesienie techniki rolnej i wydajności gleby zawiodło.

Rolnik bowiem musi umieć nietylko wyzyskać bogactwa ziemi polskiej, jej faunę i florę, lecz w pierwszej linji musi zorganizować handel produktami rolniczemi, pozbyć się wszelkiego rodzaju pośredników, nawiązać stosunki handlowe w kraju i zagranicą, a wówczas problem rolniczy będzie rozwiązany. Gdy przypatrzymy się życiu rolniczemu w naszym kraju, i stwierdzimy, dlaczego ziemia polska nie bogaci polskiego rolnika, łatwo zrozumiemy, gdzie tkwi źródło kryzysu w rolnictwie. Przykładów, które uplastyczniają tę prawdę jest wiele, i na początek poruszamy sprawę ziół leczniczych.

* * *

Produkcja ziół leczniczych w Polsce znajduje bardzo mało zwolenników, natomiast gleba polska, gdziekolwiek zabłądzimy, rodzi wielkie masy i wiele gatunków ziół lekarskich i aromatycznych, których rozum polski nie umiał dotychczas wyzyskać. A przecież nowoczesna wiedza lekarska wraca coraz poważniej i wyraźniej do leków roślinnych dotychczas lekceważonych. To też popyt na zioła lekarskie i aromatyczne wzrasta niebywale zagranicą i obcy przedsiębiorcy często przedkładają Polsce swe oferty na ich dostawę. I mimo tego, że produkcja i wywóz tych ziół może zapewnić rolnikowi poważne dochody, a bilans handlowy naszego kraju może na tem wiele zyskać, działalność na tem polu jest wielce nieznaczną.

A każdy rolnik wie, że rośliny lekarskie i aromatyczne są mało wymagające, gdyż są to przeważnie rośliny dziko rosnące, chwasty, które w walce o byt zahartowały się i uodporniły, przystosowując się szybko do danego klimatu i gleby. To też udają się wspaniale na nieużytkach, których w Polsce jest aż nazbyt wiele.

Można spotkać się z zarzutem, że dotychczasowe próby tej produkcji w Polsce zawiodły, a nawet przyniosły straty. Tymczasem trzeba stwierdzić, że rolnicza produkcja ziół leczniczych i aromatycznych dała dobre rezultaty, natomiast zawiodły nasze stosunki handlowe, zależne od złej czy dobrej woli pośredników i handlarzy, którzy wiecej zarabiają na imporcie lekarstw roślinnych i ziół z zagranicy. W Polsce też nie umiano stworzyć dotychczas przemysłu, któryby przerabiał polskie zioła dostosował się do wymogów rynku zbytu. Zioła bowiem nie można rzucać na rynek handlowy w formie naturalnej, jak siano, lecz musi się je odpowiednio przerobić, opakować i zareklamować. Z ziół trzeba również sporządzać ekstrakty, różne wyroby perfumeryjne, aromaty, na których francuscy przemysłowcy bogacą się również kosztem Polski.

Polski zaś rolnik musi sprzedawać swój zbiór ziół po cenach niezwykle niskich, a produkt ten handlarze wywożą z dobrym zarobkiem zagranicę po to, by wrócił do Polski w formie przerobionej, a Polacy kupują po przeróbce własne zioła po cenie bardzo wysokiej.

Rolnicy innych krajów postępują inaczej. W Hiszpanji istnieje Komitet narodowy produkcji roślin leczniczych, który podlega generalnej Dyrekcji Zdrowia, i dostarcza rolnikom nasion i sadzonek prowadzi stacje doświadczalne, udziela rady i pomocy, ułatwia zbyt, urządza odczyty i wystawy, wydaje wiele pouczających broszur i pism, popiera materjalnie i ustawowo ten nowy przemysł rolniczy i nawiązuje kontakt handlowy z zagranicą. Taką samą akcję widzimy we Francji, w Niemczech i we Włoszech i w innych krajach.

Przemysł ten coraz częściej odnosi się do Polski z zapytaniem o zioła lecznicze, gotów je nabyć za gotówkę we wielkich ilościach, gdyż n.p. przemysł francuski wykazuje zapotrzebowanie miesięczne wyrażające się w miljonach kilogramów. Oferty te jednak przejmują handlarze, a nie wie o nich polski producent, któryby napewno z czasem pod wpływem zagranicy pozbył się wszystkich pośredników.

Obecnie Polska wywozi do Niemiec wiele widłaku (Lycopodium), handlarze zarabiają przytem rocznie około 12 miljonów złotych, polski zaś rolnik nie zarabia nawet 5 proc. od tej kwoty. Widłak służy nietylko do wyrobu lekarstw, lecz znajduje ważne zastosowanie w pyrotechnice zwłaszcza przy odlewie bardzo precyzyjnych pocisków. Taki pożądany i cenny produkt rolnik polski sprzedaje za bezcen w czasach obecnych, gdy rośnie liczba fabryk broni.

Polska dostarcza również zagranicy wiele jałowca, którego wielkie masy idą do Anglji, gdzie fabrykują z niego specjalny napój wyskokowy, wielce ulubiony i zwany tam dżin - visky. Z Polski wywozi się również zagranicę Korę Kruszyny (Rhammus frangula), z której otrzymuje się wyciąg i sporządza z niego pastylki zwane „cascaris sagradae"; i pigułki „cascarine", sprzedawane u nas po wysokiej cenie.

Tatarak, który u nas rośnie bujnie i dziko na brzegach stawów i bagien a kandyzowany tak dobrze smakuje dzieciom i starszym, na którym chłopcy wygrywają w Zielone święta różne melodje, uważany u nas za chwast i nieużytek, idzie od nas masami zagranicę i wraca po przeróbce do Polski i sprzedaje się go w naszym kraju po wysokich cenach, gdyż Polak płaci nietylko wyrób, lecz również cło i koszta przywozu.

Z Polski wywozić można wiele innych roślin lekarskich i aromatycznych rosnących dziko i dających się łatwo masowo uprawiać, jak np. archangielkę, posiadającą przepiękny zapach i wiele innych właściwości. Zioła te dostarczać można albo przemysłowi lekarskiemu, lub perfumeryjnemu a także fabrykom mydła i innym. Również stworzyć można w Polsce nowy przemysł rolniczy, który na pewno liczyć może na zbyt w kraju i zagranicą, zwłaszcza, że polska produkcja mogłaby łatwo konkurować z obcemi przedsiębiorstwami.

Przecież nie wiele potrzeba wysiłku, i kapitału, by zebrane zioła należycie wysuszyć, pokrajać i odpowiednio opakować. Chemicy zaś polscy potrafią urządzić destylarnię olejków eterycznych, robić wyciągi z ziół i przerabiać je na wyroby perfumeryjne czy inne. Przy sporządzaniu wyciągów oddziela się od olejków eterycznych tak zwana stearopteny, jak mentol, tymol i inne, które znajdują zastosowanie w przemyśle.

Sprawa produkcji i zbytu ziół jest jaskrawym dowodem zależności naszego rolnika od czynników mu obcych, wstrzymujących zręcznie i niestety łatwo wszelki rozwój polskiego handlu rolniczego i świadczy o naszej wielkiej niezaradności. Już to samo, że rolnik nie zna nawet wartości swego produktu, nie umie go we własnym zakresie działania spieniężyć, — rzuca ponure światło na nasze stosunki i poucza nas, gdzie leży źródło upadku polskiego rolnictwa.

D. I. S.

„Robot" wrogiem czy sługą człowieka?

Robot, — człowiek - automat. Epokowy, zdawałoby się, wynalazek dwudziestego wieku. Bezduszna maszyna, dzieło rąk ludzkich, zdolna jednak spełniać najbardziej skomplikowane i odpowiedzialne funkcje z nieomylną precyzją... automatu.

Dobrodziejstwo, czy przekleństwo ludzkości?

Oto niedawno dokonano niezwykłego eksperymentu: zakłady niemieckie Junkersa zbudowały samolot z gyroskopem, pilotowany przez robota! Samolot ten, typu Junkers W. 34, przebył sam drogę z Londynu do lotniska Le Bourget pod Paryżem, wykonując szereg trudnych ewolucyj w powietrzu. Jakiż to wspaniały wynalazek, nieprawdaż? Ale spojrzyjmy na odwrotną stronę medalu: czyż nie jest rzeczą łatwą załadować na taki samolot kilkanaście bomb gazowych, które w danym momencie z precyzją zegarka spadną na upatrzony cel, siejąc zniszczenie?

Toteż niedziw, że francuskie ministerstwo lotnictwa po tej jednej próbie zakupiło kilka modeli takiego samolotu...

* * *

Są jednak wypadki, gdy roboty stają się prawdziwymi stróżami i opiekunami człowieka. Dotyczy to zwłaszcza aparatów uzbrojonych w komórkę foto - elektryczną, tzw. „elektryczne oko". Aparaty podobne wyrabia się fabrycznie, a w funkcjonowaniu swem przedstawiają one prawdziwy „mózg", zasilany jedynie zwykłym prądem elektrycznym.

Tak więc umieszcza się np. takiego robota w dużych zakładach przemysłowych lub fabrycznych, gdzie praca przy skomplikowanych maszynach przedstawia duże niebezpieczeństwo dla robotnika.

Skoro przez nieuwagę robotnik wsunie rękę pod prasę, kalander, czy maszynę rotacyjną, robot zatrzymuje momentalnie ruch danej maszyny. W innych wypadkach, gdy natychmiastowe zatrzymanie potężnych maszyn jest niemożliwe, — robot chwyta nieostrożnego robotnika w swę stalowe ramiona i odrzuca go daleko.

* * *

Duże usługi oddają też roboty jako strażnicy odludnych i trudno dostępnych latarń morskich. Tak np. w pobliżu Ouessant, na wybrzeżu francuskiem robot obsługuje sam latarnię, zapala ją i gasi w oznaczonych godzinach, bez jakiejkolwiek pomocy ludzkiej.

Co więcej odbiera dyspozycje drogą kabli elektrycznych, w razie przerwania się kabla, odbiera rozkazy przez radjo, a w razie zepsucia się aparatu radjowego zapala alarmową lampę acetylenową.

Wreszcie daje sygnały zapomocą syreny, skoro tylko mgła zalegnie na oceanie.

* * *

Ale ta automatyzacja niezawsze wychodzi ludzkości na korzyść. Robot spełnia wyznaczoną mu pracę, zastępuje człowieka, — ale równocześnie odbiera mu możność zarobkowania. Bo pracuje szybciej, bezporównania wydatniej, wymaga niewielkiej obsługi. Wystarczy przytoczyć tu jako przykład — automatyzację telefonów: gdzie poprzednio pracowało czterysta telefonistek, dziś wystarczy czterdziestu elektro mechaników.

W dzisiejszych warunkach, przy szalejącem na całym świecie bezrobociu, tego rodzaju „postęp" wydaje się rzeczą nieco ryzykowną, ze względów społecznych i ekonomicznych. I dziś zaczynamy inaczej patrzeć na tych tkaczy lyońskich, którzy chcieli utopić w Rodanie wielkiego Jacquarda, wynalazcę automatycznej tkalni!

* * *

Nie wystarcza nam jednak robot-automat. Idziemy pomału ku zupełnej automatyzacji człowieka. Do owej pracy „łańcuchowej", polegającej na obrabianiu i montowaniu poszczególnych części składowych, produkowanych w zawrotnem tempie przez maszyny-potwory.

Praca to machinalna, gorączkowa, szarpiąca nerwy. Praca, przy której niema miejsca dla ludzi słabych, niezaradnych lub niedość szybko się orjentujących.

Co więcej — robot, stworzony przez człowieka, staje się niekiedy jego kontrolerem i nieubłaganym sędzią.

Oto siedzi kandydat na maszynistę pociągu pospiesznego. Siedzi przed dużym ekranem, na którym pojawiają się nieoczekiwanie sygnały świetlne, białe czerwone, zielone... Sygnały, używane w kolejnictwie. Siedzi wśród ogłuszającego huku i świstu, mającego naśladować hałas pędzącej maszyny.

I na każdy sygnał musi natychmiast reagować, pociskając odpowiednie guziczki, otwierając klapy, uruchomiając hamulce, — zupełnie, jakgdyby znajdował się na prawdziwej lokomotywie. A biada mu, jeśli się pomyli, lub zbyt długo namyśla: robot rejestruje każdy jego giest, nie daruje mu ani sekundy! I od wyniku takiego egzaminu zależy uzyskanie posady.

Podobny egzamin przechodzi też kandydat na kierowcę autobusu. Siedzi przy kole sterowem, ma pod ręką wszystkie korbki, dźwignie, pedały, jak w prawdziwym autobusie. Nawprost niego duży ekran, na którym widać biegnącą drogę, z drzewami, mostami, zakrętami pędzącemi samochodami, wozami, i pieszymi wędrowcami.

Musi bezwłocznie reagować na każde grożące mu — z ekranu — niebezpieczeństwo w sposób właściwy. I tu znowu każdy jego najdrobniejszy ruch rejestrowany jest automatycznie na specjalnym „chronometrze".

Inne znów automaty służą do mierzenia siły, zręczności, bystrości orjentacji, pamięci wzrokowej, nawet zdolności myślenia... Robot sonduje człowieka do głębi, wydaje o nim decydującą opinję.

Czyżby nie jest to zupełna automatyzacja, czyż człowiek nie staje się powoli niewolnikiem aparatów mechanicznych przez niego samego stworzonych? Jak ów czarownik Goethego co nie mógł sobie dać rady z zaklętemi przez siebie samego żywiołami[?] duchami"?...

(n.)

Wierzenia i praktyki magiczne w Indjach

MAGJA A RELIGJA

W zamierzchłej przeszłości człowiek, otoczony zewsząd (jak mu się zdawało) wrogiemi mocami, czując się zagrożonym niezliczonemi wprost niebezpieczeństwami, szukał ucieczki i rozglądał się za ratunkiem. Potrzeba jest matką wynalazków. Wynalazł — magję. Magja miała go ochronić przed czyhającemi wszędzie niebezpieczeństwami, zasłonić przed niepowodzeniem, zapewnić powodzenie. Zanim powstała właściwa religja, istniała magja. Poprzednikiem kapłana był czarodziej. Dopiero na wyższym stopniu rozwoju człowieka, wiarę w możliwość wywierania wpływu na siły przyrody i inne — poza nim — stworzenia, oraz niewidzialne moce złowrogie, zastąpił wierzeniami religijnemi, uznającemi istnienie istoty czy istot wyższego rzędu, wymykających się spod jego władzy. Wierzenia religijne jednak nie wyparły w całości przesądów magicznych; zależnie od stopnia cywilizacji, pokutowały one mniej lub więcej i nadal. Wiadomo przecie, że i dzisiejszy człowiek, tak chlubiący się właśnie swą cywilizacją, niejednokrotnie przypomina przesądami owego dzikusa sprzed wieków.

I w Indjach starożytnych obok religji istniała magja; świadczą o tem najwyraźniej zachowane zabytki literackie; przedewszystkiem t. zw. Atharwaweda, tj. „Wiedza czarów". Lecz o tem może innym razem. Dziś zajmiemy się — w myśl znanej zasady o rejestrze — raczej tem, co jest, a i to naturalnie tylko w najogólniejszych zarysach, z pominięciem osobnych gałęzi magji w rodzaju astrologji, chiromancji, oneiromancji (tj. wykładania snów), wróżbiarstwa. Bo i w Indjach wierzenia i praktyki magiczne dochowały się w ogromnej ilości wypadków szczęśliwie do naszych dni.

RODZAJE MAGJI

Rozróżnić można także tam dwa rodzaje magji: białą i czarną. Biała ma za cel wpływanie niewinnemi środkami na pogodę, pomyślny wynik zbiorów itp.; czarna — uzyskanie mocy nad drugimi spomocą zaklęć, napojów itp. środków, najczęściej dla celów niezbyt godziwych. Biała magja obejmuje przedewszystkiem operacje z zakresu magji „mimetycznej" („naśladowczej"), której zasadą jest tzw. prawo podobieństwa, polegające na tem, iż „czynność podobna wywołuje zjawisko podobne" (np. wylewanie wody — deszcz), że skutek podobny jest do przyczyny. Obok tej magji „mimetycznej", polegającej na błędnem kojarzeniu pojęć podobnych, istnieje jeszcze magja „sympatyczna", oparta na prawie kontaktu", które wynika z błędnego kojarzenia pojęć — rzeczy połączonych ze sobą, a orzeka, że rzeczy, raz połączone, oddziaływują na siebie i z odległości, po rozdzieleniu się.

Te uwagi wstępne potrzebne są dla należytego zrozumienia podanych niżej przykładów.

MAGJA BIAŁA

By zapewnić sobie deszcz, oblewa się wodą dziewczęta, idące w procesji; ściekanie wody ma zachęcić czy zmusić chmury do wylania nagromadzonych zapasów. Gdy ktoś pragnie uzyskać dobry zbiór bawełny, wyrywa włókno z kilku torebek nasiennych na swem polu bawełnianem i wyciąga nić tak długą, jak to tylko możliwe bez przerwania jej; potem cała rodzina napełnia usta ryżem i wydmuchuje go, jak tylko zdoła najdalej, na wszystkie strony świata: biała bawełna (ryż jest biały!) powinna po takim — dozwolonym — zabiegu wyróść tak wysoko i na tak wielkiej przestrzeni, jak wysoko i daleko wydmuchamo ziarna ryżu.

W Pandżabie środkiem magicznym, używanym dla usunięcia bezpłodności kobiecej, jest kąpanie danej kobiety nad zwłokami, aby „złapała" duszę zmarłego; albo też każą jej jeść chleb, upieczony na dopalającym się stosie, na którym palono zwłoki młodzieńca bezżennego — taki nie przekazał życia nikomu — lub jedynego albo najstarszego syna w jakiejś rodzinie, gdyż taki otrzymał w udziale największą dozę żywotności.

Jeden z meczetów w Gudżarat (płn. zachód Indyj) ma ściany ze zlepieńca, których powierzchnia — po wykruszeniu się cementu, nadgryzionego twardym zębem łakomego czasu — jeży się guzami. Ponieważ guzy te wyglądem przypominają wrzody, osoby, cierpiące na wrzody, ścierają owe guzy melasą, aby — w myśl zasady magji mimetycznej — usunąć swe cierpienie.

MAGJA CZARNA

Niezłą ilustrację stosowania magji czarnej dają praktyki z wizerunkami. Czarodzieje pewnego szczepu w Assamie sporządzają z gliny wizerunki osób którym pragną zaszkodzić i wbijają w nie gwoździe, by wywołać chorobę u danych osób; albo też biorą odcisk śladów stóp danej osoby w glinie i suszą go przy ogniu, aby wywołać febrę u owej osoby. Jeśli Birmijczyka wodzi za nos dziewczyna, zamawia u czarodzieja jej wizerunek; w ten wizerunek wkłada się kawałek czegokolwiek, noszonego lub używanego przez nią, a potem leki i zaklęcie — i dziewczyna popada w szał. W Bengalu czarnoksiężnik sporządza łuk z kawałka bambusu, którego używano do przytrzymywania ciała na stosie podczas ceremonji palenia zwłok i z tej niesamowitej broni strzela do wizerunku wroga, spreparowanego wśród zaklęć; część ciała, odpowiadająca miejscu wizerunku, ugodzonemu przy tem, staje się pastwą boleści. Indyjscy muzułmanie wytworzyli osobną literaturę zaklęć, używanych przy takich praktykach czarodziejskich. Nawiasem mówiąc, podobne czary praktykowano szeroko i w Europie średniowiecznej, a szczątkowo dochowały się one i do dziś, o czem zresztą wiadomo.

CZARY MIŁOSNE

Stałem źródłem dochodu dla czarodziejów są przedewszystkiem — jak łatwo się domyślić (choćby z tego podtytułu) — oczywiście czary miłosne. W Bengalu szczególnym popytem cieszy się środek na miłość, sporządzony z kawałka kości czołowej trupa i owocu trującej datury czyli bieluniu, naturalnie w należytym stosunku; wystarczy posmarować sobie czoło tą miksturą, aby dostać w swą moc jakąkolwiek osobę, którą posmarowany kocha lub której... się lęka (to zestawienie może się wydać dziwnem, że jednak „coś na tem jest", zaświadczą ludzie żonaci).

MAGJA TANTRYCZNA

Dział magji czarnej, jedna z późniejszych, zniekształconych postaci buddyzmu, tzw. tantryzm, rozwinął w osobną wiedzę czy raczej pseudowiedzę, stanowiącą karykaturę wierzeń ludowych. Kapłan - mag wyposażony jest tam w ogromną ilość zaklęć, formułek, czarodziejskich figur magicznych itp. i nic dziwnego, że w takim stanie rzeczy rości sobie pretensję do posiadania mocy — jak powiada jeden z badaczy literatury i kultury indyjskiej, sir. M. Monier - Wiliams „przepowiadania przyszłości, dokonwania najbardziej zdumiewających cudów, — wlewania życia w martwe ciała, zabijania lub upokarzania wrogów, wtrącania kogokolwiek gdziekolwiek (tj. bez względu na odległość) w chorobę lub szał, zniewalania do miłości, czarowania broni i nadawania jej niechybnej skuteczności, zaczarowywania zbroi i czynienia jej odporną na wszelkie ataki, zamieniania mleka w wino, roślin w miód — lub też dowolnego odwracania takich procedur (o ile ich dokonał inny czarodziej). Góruje on nawet nad bogami i może zmusić bogów, boginie, djabliki (z wyjątkiem naturalnie drukarskich) i demony do wykonywania jego najdrobniejszych rozkazów". Nawiasem mówiąc, takie właśnie wierzenia w połączeniu z nauką buddyzmu północnego dały w rezultacie karykaturalną formę religji, panującej w Tybecie.

GDZIE KWITŁA MAGJA?

W epoce dawniejszego buddyzmu oraz późniejszego bramizmu tj. w ostatnich wiekach przed naszą erą i pierwszych po niej, główną siedzibą magji w Indjach było pogranicze północno - zachodnie, zamieszkane przez szczepy niezbyt cywilizowane. Że taki stan rzeczy trwał i nadal, świadczy relacja jednego z licznych buddyjskich pielgrzymów chińskich, którzy odwiedzali Indje jako ojczyznę Buddy: mianowicie Hjuen-Cang, podróżujący po Indjach w połowie w. VII, opowiada o talentach czarnoksięskich ludzi tamtych stron. Zresztą jeszcze słynny podróżnik włoski w. XIII, Marco Polo zapewnia, że tamtejsze szczepy znały się niezgorzej na czarnoksięstwie i sztukach djabelskich.

Podobnie było na przeciwległym krańcu Indyj, w Assamie. Pewien historyk indyjski, przedstawiający dzieje rządów cesarza Aurangzeba (1659—1707)[1]) donosi, że w Assamie „piękność kobiet jest niezwykła; ich magja, czary, umiejętność używania zaklęć oraz kuglarstwo są większe aniżeli sobie można wyobrazić. Mocą magji budują domy, których słupy i powały są zrobione z ludzi. Ci ludzie pozostali przy życiu, lecz nie mają siły oddychać ani poruszać się. Mocą magji zamieniają także ludzi w czworonogi i ptaki tak, że dostają ogony i uszy, podobne do zwierzęcych. Zdobywają serce każdego, kogo tylko zapragną i czynią go powolnym sobie. Mogą przepowiadać ruchy i zatrzymanie się planet, drożyznę i potanienie zboża (to przydałoby się bardzo i dziś — znów przyp. tłum.), długość i krótkość życia każdego."

MALABAR, ELDORADO CZARÓW

Najsilniejszą twierdzą magji był jednak Malabar, wybrzeże południowo-zachodnie kraju. Logan, autor 3-tomowej monografji o Malabarze, wydanej pod koniec ub. w., nazywa tę część Indyj „krajem czarnoksięstwa i magji par excellence". Daje opis przeróżnych praktyk magicznych, jakie przetrwały tam do dziś. Malabarczycy sporządzają np. z wosku wizerunek wroga i palą go wśród ceremonij czarnoksięskich; wykopują na cmentarzu kość ludzką, recytują nad nią zaklęcie i wrzucają do domu sąsiada. Jest to magja czarna, szkodliwa. Według wierzeń Malabarczyków, można zapewnić sobie usługi demonów w sposób niezbyt trudny: bierze się zwłoki dziewczyny, umiesz cza je w niedzielę w nocy pod drzewem, zamieszkanem przez demona i powtarza stosowne zaklęcie sto razy, a demon wstąpi w zwłoki i ożywi je; jeśli go nakarmić mięsem i napoić wódką (i demony lubią przepłukać gardło), odpowie na zadane mu pytania i przepowie przyszłość. Kto zdobędzie władzę nad demonem w taki sposób, może go z sobą obnosić, a nawet — gdy uzna za stosowne czy pożyteczne — odstąpić za odpowiedniem wynagrodzeniem innemu czarodziejowi.

JESZCZE PÓŁNOC MAGJĄ DMUCHA

Na równinach północnych magję reprezentuje czarodziej, zwany odżha, posiadający wielkie wzięcie wśród szczepów niecywilizowanych. Głównym jego zawodem jest zaklinanie chorób. Odbywa się to tak: Odżha spala przed pacjentem zioła o silnej woni, mające wykurzyć złego ducha lub też dla zalania djabłu sadła za skórę, wyciska choremu do oczu pewną dozę gryzącej cieczy, albo wreszcie skrapia go gorącą oliwą, każąc wymienić ducha, który sprowadził nań chorobę. Następnie, zwróciwszy się ku wschodowi, rozbiera się do naga, mruczy głośno, jakby licząc, ilu djabłów maczało tu rękę, sypie pęk trzcin na chorą część ciała pacjenta dla odstraszenia ich, a wreszcie każe dać sobie dwie sztuki drobiu, które ma złożyć owym duchom w ofierze — aby je skłonić do pójścia sobie precz, — a które faktycznie sam zjada.

„NIEMA WIELKOŚCI BEZ CZARÓW"

Człowiek wielki czy bitny, któremu się wszystko wiedzie, uchodzi niejednokrotnie w oczach ludu za czarownika czy charakternika. Cesarzowi Akbarowi (1556—1605),[2]) władcy indyjskiemu, który bodaj niewiele albo i wcale nie ustępował Napoleonowi, vox populi przypisywał czarnoksięskie moce: tylko dzięki nim mógł przecie zdobywać twierdze za twierdzą. Jeden zaś z historyków indyjskich krajowych donosi, że, gdy Kompanja Wschodnio-Indyjska chciała odwołać Warrena Hastingsa, wielce zasłużonego rządcę Bengalu (w drugiej połowie w. XVIII)[3]) i wysłała jego następcę do Indyj, Hastings — zabił go czarami.

E. Słuszkiewicz

„Science Advisory Board"

Stany Zjednoczone A. P. przeżywają obecnie jakąś gorączkę naukową. Zagadnienia ekonomiczne schodzą chwilowo na plan dalszy, a opinja publiczna interesuje się wyjątkowo żywo ostatniemi odkryciami i wynalazkami z dziedziny nauk ścisłych.

Niemało przyczyniło się do tego przyznanie nagrody Nobla z dziedziny medycyny i chemji uczonym amerykańskim.

Jakkolwiek odkrycia te mają zazwyczaj znaczenie raczej czysto teoretyczne, ściśle naukowe, — to jednak rząd bada je pod kątem widzenia praktyczności i użyteczności. Do tego celu służy utworzone przez prezydenta Roosevelta tzw. „Science Advisory Board" instytucja poświęcona specjalnym studiom w tym kierunku.

Jednym z ostatnch sukcesów tej instytucji jest zorganizowana od 1-go stycznia br. służba prasowa telefotograficzna, dzięki czemu można w ciągu czterech godzin dostarczyć kilkudziesięciu dziennikom w rozmaitych miastach drogą telefotograficzną cały gotowy materjał informacyjny. Jest to nowy zupełnie typ dziennika fotografowanego, stanowiący niemal przewrót w dotychczasowej technice wydawniczo - drukarskiej.

O kulturze podświadomości

Spośród obecnie rozpowszechnionych metod psychoterapji zasługuje na uwagę autosugestja, mająca już szeroki rozgłos.

O ile sugestji, stosowanej względem kogoś, możnaby zarzucić czasami, że prowadzi do nadużyć, autosugestja wolną jest od tej winy, gdyż właśnie opiera się na krytycyzmie względem obcych wpływów i ich unika.

Do rozwoju teorji i praktyki autosugestji przyczyniła się najbardziej tzw. „Nowa Szkoła z Nancy", powstała na drodze ewoulcji idej, podanych przez dr. Liebeault i prof. Bernheima. Propagatorem i popularyzatorem tej szkoły był Emil Coué, słynny że swej społeczno-lekarskiej i filantropijnej działalności. Skromny farmaceuta, rozpoczął swą praktykę psychoterapeutyczną z początku w gronie znajomych, a gdy skutek okazał się nadspodziewany, musiał ją rozszerzyć na tych wszystkich, co się tłumnie zjeżdżać zaczęli do niego z całego świata. Czynili to przytem bezinteresownie. Poczucie dobra, któremu służył, było dlań zapłatą jedyną, od każdej zaś innej wymawiał się stanowczo. Mawiał przytem: „Nie myślcie, bym był lekarzem i uleczył kogokolwiek z was. Podaję tylko łatwy sposób, byście się mogli leczyć sami".

Około Coué'go - praktyka skupili się lekarze tacy, jak: Fauvel, Vachet, Viriot i Prost z Paryża, Lestchinsky, Castanié i Richard ze Szwajcarji, Monier Williams z Londynu itd., — zaś teoretykiem współczesnym tego kierunku jest Ch. Baudouin, profesor uniwersytetu w Genewie.

Przykłady chorób, wyleczonych autosugestją, są zadziwiające. Jest ich bez liku. Rany zastarzałe, astma, nawet gruźlica itp. najbardziej uporczywe dolegliwości ustępują po jej zastosowaniu w krótkim czasie.

CO TO JEST „AUTOSUGESTJA"?

Na czemże polega autosugestja?

Na tej zasadzie, sprawdzonej doświadczalnie przez szkołę w Nancy, że gdy skupiamy uwagę na jakiejś myśli, dotyczącej zmiany stanu ciała czy duszy, to myśl ta skłonna jest do urzeczywistnienia się w praktyce, oczywiście w granicach fizycznie osiągalnej możliwości.

Urzeczywistnienie to dokonywuje się mimowiednie, a właśnie dlatego że praca nad urzeczywistnieniem myśli odbywa się w podświadomości i rezultat rzadko kiedy bywa natychmiastowy, pracy tej nie spostrzegamy odrazu. Aby wywołać pożądany skutek, należy kierować się według prof. Baudouin następującemi prawami psychologicznemi, przez niego ustalonemi:

Prawo pierwsze powiada, że:

Tylko ta myśl dąży do urzeczywistnienia na drodze autosugestji, na której została skupiona całkowita uwaga świadomie lub podświadomie.

Według tego prawa, opartego na doświadczeniu, myśl nasza wywołuje w pewnych warunkach siłę, która przez pracę wewnętrzną podświadomą urzeczywistnia cel powzięty.

Siłą tą możemy kierować odwolnie: złą myśl zastąpić przez dobrą, lub dobrą wzmocnić, stosując ją w odpowiednich warunkach a skutek nie omieszka okazać się po pewnym czasie.

W praktyce jednak sprawa nie jest tak prostą, jakby się to zdawało na pierwszy rzut oka, gdyż prawo przytoczone o uwadze skupionej ⁻nosić się nieraz może przez inne prawo o wysiłku odwróconym. To drugie prawo głosi, że: **Jeżeli naszą uwagą zawładnęła myśl jakaś ujemna od której chcemy się oswobodzić, wysiłki woli, skierowane ku temu, potęgują tę myśl jeszcze bardziej i aktywują złą sugestję.** Tak np. jeżeli będziemy się starali skupić uwagę na jakiejś myśli dodatniej, mającej zastąpić ujemną, ta ostatnia będzie się uwydatniała tembardziej, im więcej wysiłku woli nato zużyjemy. W tym wypadku należy odwrócić złą myśl natarczywą, nie uciekając się do wysiłku, a więc bez natężenia woli.

Ta sama trudność powstaje nawet w tym wypadku, kiedy sugestja nasza ma na celu tylko wprowadzenie dobrego, a nie wykorzenienie złego wpływu poprzedniego, a to dlatego, że na każdy wysiłek składa się jednocześnie, obok wyobrażenia o powziętym celu, także i to drugie: o trudności w pokonywaniu przeszkody, i to ostatnie wyobrażenie może unicestwić wpływ poprzedniego lub nawet przemóc go.

Stąd przychodzimy do tegoż wniosku, co i poprzednio:

Wysiłek woli musi być usunięty i skupienie uwagi twórczej powinno się dokonywać bez wysiłku.

TECHNIKA AUTOSUGESTJI

Pierwszym tego warunkiem jest zupełne rozluźnienie muskułów przy jednoczesnem zajęciu najwygodniejszej pozycji ciała na fotelu lub na łóżku).

To rozluźnienie fizyczne sprzyja odprężeniu władz umysłowych i wprawia nas w stan podobny do tego, jakiego doświadczamy nieraz w czasie poprzedzającym sen lub następującym po nim. Są to chwile, kiedy jesteśmy skłonni do marzycielstwa; — podświadomość wówczas wynurza się niejako na powierzchnię. A właśnie myśl nasza, aby się móc urzeczywistnić, musi wpierw korzeniami swemi uczepić się tej podświadomości, wrośić w nią, co stanie się wtedy, gdy dostęp do niej znajdzie ułatwionym.

Nie należy jednak pozwolić umysłowi naszemu bujać w marzeniach dowolnych, gdyż wówczas będziemy dalecy od tego skupienia uwagi, jakie wywołać zamierzamy. Trzeba, aby w tych chwilach odprężenia umysłu i woli udało się nam skupić uwagę bez wysiłku na jednej tylko myśli, wyrażającej cel sugestji.

Jeżeli w stanie zwyczajnym — wysilamy się nieraz, by myśl zatrzymać, to tu — odwrotnie — myśl winna przykuwać nas do siebie sama przez się i to jaknajdłużej.

Dopomóc mogą do tego bądź dźwięki jednostajne lub ruchy miarowe i wahadłowe (np. szmer strumyka lub chwiejny płomień kominka) — bądź rytmiczne czynności własne (np. bujanie się na krześle, przesuwanie paciorków różańca), bądź wreszcie myśl sama, ujęta w krótkiem zdaniu, a powtarzana miarowo i rytmicznie, niby kołysząca nas do snu. Myśl tą powinna mieć siłę atrakcyjną taką, by ona to pochłaniała naszą uwagę i panowała nad nią, nie zaś odwrotnie, a przytem sam proces myślenia musi się odbywać machinalnie, biernie, jak gdyby pomimo naszej woli.

Wywołana w ten sposób autosugestja będzie szczególnie skuteczną, gdy ją praktykować będziemy na chwilę przed zaśnięciem lub zaraz po obudzeniu.

Aby zapobiec rozproszeniu, może być pożytecznem powtarzenie zdania na głos, półgłosem lub szeptem, poruszając przytem wargami, ruch, towarzyszący przy tem nadaje pewną trwałość myśli, raz po raz skierowując naszą uwagę do niej i przykuwając nas do jej treści.

Praktyka wskazuje, że dość jest kilku minut, poświęconych codziennie zrana i wieczorem takiemu oddawaniu myśli, by po kilku czy kilkunastu dniach działanie jej wykazało znaczny skutek.

Myśl musi być podana w formie zwięzłej, by powtarzanie nie wymagało wysiłku. Nie należy też wyszczególniać zdań, które podświadomość ma wykonać. Dość jest wskazać tylko cel i to w formie najbardziej ogólnikowej, by drogę i środki znalazła ona sama. Matematycy wiedzą, że nieraz mając jakieś trudne zadanie do rozwiązania i napróżno siląc się przez cały wieczór, by tego dokonać, znajdowali zrana po obudzeniu się rozwiązanie we śnie, chociaż nie umieliby wskazać, jakiemi drogami ono przyszło.

Pożytecznem będzie także i w ciągu dnia znaleźć kwadrans czy pół godziny dla poddawania sobie tej samej myśli w stanie zupełnego spoczynku.

Myśl powinna być podawana w formie pozytywnej i w trybie czynności, dokonywanej w czasie obecnym. Kiedy np. ma się tremę lub gdy lęk nas ogarnia, nie należy mówić: „nie boję się", lecz: „mam odwagę". W różnych niedomaganiach fizycznych i moralnych Coué radzi powtarzać: „Jest mi coraz i coraz lepiej pod każdym względem".

W danym razie nie ma to charakteru pospolitego wmawiania w siebie czegoś co nie istnieje, skoro pierwiastki odwagi lub zdrowia tkwią w nas niewątpliwie i chodzi tylko o to, by je ujawnić, ugruntować i rozwinąć.

AUTOSUGESTJA A RELIGJA

Autosugestja, jako sam wyraz i metoda, wydaje się jeszcze czemś nowem dla niektórych psychologów. Jednak pojęcia w niej zawarte i jej praktyka są już dawne, jak dawną jest natura ludzka.

Święci np. stosowali modlitwę sugestywną, zalecaną przez Kościół, jako akty strzeliste.

Dla św. Franciszka Searfickiego jedyną modlitwą na górze Alwernji były słowa: „Bóg mój i wszystko moje". Św. Katarzyna Sieneńska zalecała córkom swym, by po kilkadziesiąt razy i więcej odmawiały jeden i ten sam akt strzelisty koncentrując na nim całą swą myśl i uczucie.

Wogóle metody autosugestji są bardzo często stosowane w różnych sposobach i praktykach modlitewnych. Czyniliśmy to dotąd bezwiednie, dziś jednak mechanizm tego procesu staje się już dla nas po części zrozumiałym. Bo jeżeli dusza nasza i ciało w pewnych warunkach łatwo ulegają wpływom myśli naszej własnej (t. j. autosugestji) — dlaczegoż przy tożsamości warunków nie mają ulec działaniu myśli Bożej (tj. teo-sugestji).

Musiałoby tu zachodzić zastosowanie tegoż samego prawa, skutek zaś byłby o tyle donioślejszy, o ile większą jest przyczyna w nas działająca.

Zastrzec się należy, że rozpatrywaliśmy dotąd tylko techniczne podobieństwo ćwiczeń pobożnych, modlitwy i kontemplacji do metod autosugestji, polegające na tem, że i tu również wymagane jest skupienie wszystkich władz duszy i poddanie ich całkowite działaniu Bożemu przy doskonałem wyzuciu się z woli ludzkiej. „Duch kędy chce, tchnie" kończy, bo pamiętać należy, że żadna czynność nasza własna nie może sama przez się wytworzyć w nas stanu łaski lub sprowadzić go. Łaska jest darem nadprzyrodzonym, darmo danym, jest aktem woli Bożej, więc nie zależy od woli ludzkiej. „Duch kędy chce, tchnie" — powiada Pismo (Jan 3).

Gdy jednak odporność natury naszej utrudnia działanie w nas myśli Bożej i zagradza dostęp łasce, możemy i powinniśmy posługiwać się modlitwą w sposób tak umiejętny, by poddawać podświadomość naszą wpływowi myśli Bożej i łaski Bożej.

Stosowanie modlitwy na wzór autosugstji nie będzie wykluczało pierwiastka nadprzyrodzonego, działającego w nas w sposób boski, chociaż poddawania się temu działaniu dokonywujemy na sposób ludzki.

O pracy podświadomości mówi nam Ewangelja: „Tak jest Królestwo Boże, jak gdyby człowiek rzucił nasienie w ziemię. A spałby i wstawał w nocy i we dnie, a nasienie by wschodziło i rosło, gdy on nie wie. Bo ziemia sama z siebie owoc rodzi, naprzód trawę, potem kłos, a potem pełne ziarno w kłosie". (Mar. 4)

Przypowieść ta wskazuje, że podświadomą część natury naszej winniśmy uprawiać, jako niwę Pańską, siejąc w nią słowo Boże w sposób właściwy odpowiedni. Jako rolnik w swej pracy na roli posługuje się metodami agronomji, tak też i chrześcijanin przy uprawie duszy własnej winien używać metod psychologji.

Wzrost wiary zależy od ogólnej kultury naszej, a więc nietylko od kultury świadomości samej, tj. umysłu i woli, ale także i od uprawy tych władz, które mianem podświadomości określamy.

W kraju katolickim żądamy kultury nietylko wiedzy i myśli, ale też i duszy całej, tj. pobudek i instynktów, odruchów mimowiednych i ocen mimowolnych — jednem słowem kultury naszej podświadomości, poddanej dobrym wpływom.

Dopiero opanowanie tej dziedziny da nam, katolikom, zwycięstwo stanowcze i zupełne.

Lecz gdzie są środki po temu?

Leżą one w arsenale Kościoła. Różaniec, litanje, akty strzeliste, pobożnie odmawiane — oto ów środek skuteczny — broń nasza, przed którą psychologowie chylą czoła.

Kto jednak pragnie tą bronią władać, musi wpierw zdobyć umiejętność obchodzenia się z nią.

Uczą nas tego obecnie, prócz przykładów świętych, także i zdobycze współczesnej psychologji.

Zapoznać się z niemi byłoby zadaniem wierzącej inteligencji.

LITERATURA:

Ch. Baudouin: Suggestion et Autosuggestion, éd. Delachaux et Niestlé, Paris, 1922.

E. Coué: La maitrise de soi-même, Paris.

Największa grota na świecie

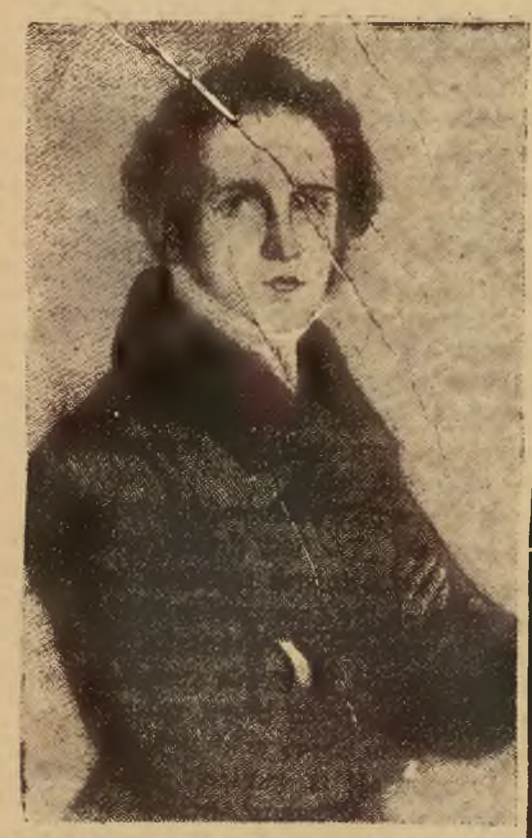
W Azji centralnej w górach Chaldymiru, znajduje się największa grota na świecie. Jest to właściwie cały kompleks mniejszych i większych grot, z których niektóre mają 70 metrów długości, dwadzieścia szerokości, a czterdzieścipięć wysokości.

Groty połączone są podziemnemi kurytarzami, a otacza je mrok prastarych legend arabskich.

Od paru lat władze sowieckie przystąpiły do naukowego zbadania tych tajemniczych a trudno dostępnych grot, noszących poetyczną nazwę Kon - i - gut, co oznacza „źródło zatraty". Nie znaleziono w nich legendarnych skarbów, ale bogate złoża cynku, manganu, srebra, oraz ciekawe objekty archeologiczne.

Vincenzo Bellini

w stulecie śmierci autora „Normy"



Całe Włochy stoją obecnie pod znakiem wielkich uroczystości muzycznych, organizowanych ku uczczeniu setnej rocznicy śmierci jednego z największych kompozytorów i najsławniejszych synów swej ojczyzny: Wincentego Belliniego.

Wszystkie większe teatry, od Katanji począwszy, a na Medjolanie i Genewie skończywszy, wystawiają z pietyzmem jego opery, które w swoim czasie tak entuzjazmowały tłumy, przynosząc autorowi powodzenie i sławę, sięgającą daleko poza granice jego ojczyzny.

Dzisiaj Bellini poszedł potrochu w zapomnienie. W muzyce nowe prądy poczęły torować sobie drogę, — coraz też mniej artystów, mogących pochlubić się owem „bel canto", jakiem olśniewała niegdyś taka np. Malibran.

* * *

Vincenzo Bellini urodził się w listopadzie roku 1801. Był najstarszym w licznej, bo złożonej z siedmiu dzieci, rodzinie. Zdolności muzyczne począł objawiać bardzo wcześnie: jako sześcioletni chłopiec komponuje już pierwszy swój utwór „Tantum ergo" i zaczyna pisać sycylijskie piosenki.

Rodzice wysyłają go do Neapolu. Ośmnastoletni chłopak dostaje się do konserwatorjum, pozostającego pod dyrekcją znanego pedagoga i kompozytora Zingarellego. Niewiele się tam nauczył, — poza zasadami harmonji i kontrapunktu.

Ale już bezpośrednio po wyjściu z konserwatorjum pisze pierwszą operę „Adelson e Salvini", przyjętą bardzo życzliwie.

W następnym roku, 1826, teatr San Carlo w Neapolu wystawia jego operę Bianca e Gernando, którą gruntuje swoją sławę.

(Nawiasem wspominamy, że tytuł opery, brzmiący pierwotnie „Bianca e Fernando", musiał być zmieniony na życzenie... cenzury, bo Fernando było imieniem ówczesnego panującego!)

Następne lata, — to okres nieprzerwanych triumfów i sławy.

Bellini tworzy niemal co roku nowe dzieło; pojawiają się kolejno: **Pirata, Straniera, Somnambula, Norma, Capuleti e Montecchi, Beatrice di Tenda**, i wreszcie ostatnia jego opera, wystawiona wiosną 1835 w Paryżu: **Puritani**.

Dziewięć oper, — dziewięć lat twórczości i wyjątkowego prawie powodzenia. Bellini zarabia przez ten czas ogromne stosunkowo sumy, które jednak wyrzuca z młodzieńczą lekkomyślnością.

Jest mile widzianym w najlepszych towarzystwach. Piękny blondynek, o falujących włosach i błękitnych oczach, pieszczony przez kobiety, ma serce niezwykle czułe na ich wdzięki.

Ma kochanki zarówno ze sfer arystokracji medjolańskiej, jak i ze świata teatralnego. Zwłaszcza głośną się staje jego miłość do „trzech Judyt", z których jedna, Judyta Pasta, była znakomitą śpiewaczką, druga młodem dziewczęciem, a trzecia żoną bogatego przemysłowca Turina.

Kobieta i miłość, to były dwie dominanty w życiu Belliniego. Kobieta dawała mu natchnienie — pod wpływem i wrażeniem swych przeżyć miłosnych z uroczą Judytą Turina napisał swą „Normę".

I dziwna rzecz: właśnie na pierwszem przedstawieniu „Normy" spotkał się Bellini z przyjęciem nieprzychylnem, ba, nawet z głośnem sykaniem i gwizdaniem. Była to złośliwa zemsta jego dawniejszej kochanki, hr. Samojłow, która zorganizowała formalne sprzysiężenie, by sztukę „położyć".

Po triumfach we Włoszech jedzie Bellini do Londynu, przyjmowany tam owacyjnie. Stamtąd przenosi się do Paryża, gdzie też pozostaje aż do śmierci. Znowu zaczyna się bujne, wesołe życie.

W Paryżu poznaje słynną gwiazdę opery, Marję Malibran, najlepszą odtwórczynię jego ról. Ostatnia to wielka miłość w życiu artysty, — miłość bez wzajemności. Malibran bowiem widzi w nim tylko artystę, którego wysoko ceni, ale serce swe oddała innemu.

Bellini umarł po parotygodniowej chorobie w Pateaux pod Paryżem, dnia 26 września 1935.

Staraniem Rossiniego i garstki bliskich przyjaciół pochowany został na cmentarzu Pere Lachaise, skąd zwłoki jego przeniesiono w r. 1876 do jego rodzinnego miasta, Katanji na Sycylji.

* * *

Bellini był pierwszym we Włoszech prawdziwym, urodzonym dramaturgiem muzycznym.

Zachwycał się kompozycjami Pergolesiego i marzył o stworzeniu dzieła takiego, jak „Stabat Mater".

Równocześnie zdawał sobie doskonale z tego sprawę, że opera włoska cierpiała przedewszystkiem na brak dobrego, odpowiedniego libretta. „Dajcie mi dobre wiersze, a dorobię do nich piękną muzykę" — mówił stale.

Na tym punkcie poszczęściło mu się również. Znalazł doskonałego librecistę w osobie poety i pisarza Feliksa Romani. Rozumieli się wzajemnie i kochali. Romani układa libretta, stosując się ściśle do wskazówek kompozytora przerabia je i poprawia niezliczone razy. Tak więc Bellini — podobnie jak potem Wagner — był właściwym twórcą nietylko muzyki, ale i tekstu, który dopiero Romani ubierał w ostateczną formę.

Dzieła jego stanowią niemal epokę w rozwoju opery włoskiej, która wyzwalając się z dotychczasowych, konwencjonalnych formułek, obracających się w kole popisowych aryj i scen ensemblowych, daje początek nowoczesnemu dramatowi muzycznemu.

Odczuwał to i oceniał należycie Ryszard Wagner który nie taił swego zachwytu nad dziełami Belliniego.

Muzyka Belliniego oparta na odpowiednio, rozumnie dostosowanym tekście, pełna liryzmu, podbija swą szczerością, bezpośredniością i melodyjnością. Możnaby jej zarzucić, że sama melodja góruje nad innemi czynnikami kompozycyjnemi, dziś szerzej uwzględnianemi, jak polifonja i instrumentacja. Ale w okresie, kiedy Bellini tworzył, była ona świeżym powiewem prawdziwej sztuki, a wywarła niezatarty wpływ na twórczość artystyczną jego następców.

Była żywa, szczera, płynęła z serca i dlatego trafiała do serca.

* * *

Zabawnym szczegółem z życia Belliniego jest jego chorobliwa niemal, „wulkaniczna" jak on sam określał, żądza sławy. Ten rozpieszczony wybraniec losu i ulubieniec pięknych kobiet chciwy był na oklaski tłumu. A znanym jest fakt, iż pewnego razu osobiście zasiadł w loży teatralnej podczas przedstawienia swej opery i sam pierwszy dał hasło do oklasków, wstając i wołając głośno „brawo!"...

Zmarł licząc lat 34, w pełni sławy i powodzenia. (R.)

Aureli Napoleon Urbański

Powstanie styczniowe w dramacie. — Bujny żywot pana Aurelego. — Teatr i kulisy. Twórczość dramatyczna

Dzieje powstania styczniowego mają swoją bogatą literaturę, począwszy od rozmaitych „Pamiętników" spisywanych przez uczestników powstania. Mamy obszerne prace historyczne na ten temat (A. Śliwińskiego i J. Grabca) mamy długi szereg utworów poetyckich, nowel i powieści, który zainicjowała Rodziewiczówna („Pożary i zgliszcza", „Był i będą"), a który znalazł najpiękniejszy swój wyraz artystyczny w utworach Żeromskiego („Echa leśne", „Rozdzióbą nas kruki, wrony" „Wierna rzeka").

Natomiast literatura dramatyczna nie może pochlubić się żadnem dziełem o nieprzemijającej wartości artystycznej, — godnem stanąć w jednym szeregu z „Nocą listopadową" czy „Warszawianką".

W dziedzinie dramatu znajdujemy coprawda kilkanaście pozycyj, — są to jednak utwory w których wyraźna szlachetna tendencja i gorący patrjotyzm nie idzie w parze z miarą i klasą talentu autorów. Rzeczy powstałe raczej okolicznościowo, niemal pod bezpośrednim wrażeniem przeżytych wypadków.

Wymienić tu należy: Józefa Korzeniowskiego „Nasza prawda", Leonarda Sowińskiego „Na Ukrainie", Franciszka Lasockiego „Trylogię" (Przed wybuchem, — Całopalenie, — Po pogromie), oraz Trylogię A. Urbańskiego.

Dopiero czterdziesta rocznica powstania styczniowego dała świeży impuls naszej twórczości dramatycznej. W r. 1903 pojawiają się dramaty: Jerzego Żuławskiego „Dyktator", Zapolskiej „Sybir" i Lucjana Rydla „Na zawsze".

Wreszcie w roku 1908 wychodzi „Mściciel" Juljusza Germana.

Pisząc o twórczości dramatycznej na tle powstania styczniowego warto przypomnieć postać Aurelego Urbańskiego, autora wspomnianej powyżej „Trylogii".

Aureli Napoleon Urbański urodził się we Lwowie 27 marca 1844, jako syn doktora filozofji Wojciecha, dyrektora biblioteki Wszechnicy lwowskiej.

Natura to była bujna, niezrównoważona. Po ukończeniu gimnazjum wstępuje na wydział prawa i administracji, — zagrożony jednak chorobą płucną przerywa studja i jedzie na kurację do Gleichenbergu.

Po powrocie zapisuje się jako słuchacz do Instytutu medyczno - chirurgicznego na Uniwersytecie lwowskim. Ale medycyna mu nie odpowiada: przenosi się wkrótce na wydział filozoficzny, gdzie studjuje matematykę i historję literatury.

Równocześnie pracuje jako stypendysta w Ossolineum i tam zaczyna też swoje pierwsze próby na niwie literackiej. Po ukończeniu studjów zostaje nauczycielem, by wkrótce już porzucić tę posadę. Wreszcie przychodzi „ustatkowanie": Urbański obejmuje skromną początkowo posadę w Wydziale Krajowym, dochodząc stopniowo do rangi zastępcy naczelnika Oddziału Rachunkowego.

Ale praca w Wydziale Krajowym nie mogła mu dać zadowolenia wewnętrznego. Było to zbyt monotonne i suche zajęcie dla jego bujnej natury prawdziwego „cygana artystycznego". Już jako 19-letni młodzieniec pisze pierwszy swój dramat, przyjęty i wystawiony na scenie Skarbkowskiej.

To zadecydowało o jego dalszej karjerze. Staje się fanatykiem teatru, którego kulisy wywierają na niego nieprzeparty, dziwny urok. Jest jednym ze założycieli „Towarzystwa przyjaciół sceny", organizuje we Lwowie szkołę dramatyczną, obejmując w niej wykłady języka polskiego.

Przez jakiś czas sprawuje nawet funkcje sekretarza teatru, za dyrekcji W. Smochowskiego. Jest w swoim żywiole: bierze czynny udział w życiu tego światka teatralnego, do którego zawsze coś go ciągnęło... Ale nie na długo. Ustawiczne nieporozumienia i zatargi z Janem Dobrzańskim, zięciem dyrektora kończą się wreszcie ustąpieniem pana Aurelego.

Nie rezygnuje jednak ze swych aspiracyj literacko - artystycznych. Jest bardzo czynnym członkiem Koła literackiego, niesłychanie popularną osobistością w mieście, bierze żywy udział w życiu umysłowem Lwowa, pisze dużo i publikuje swe utwory dramatyczne i poezje w „Ruchu literackim", w „Strzesze", „Dzienniku Mód" i innych pismach.

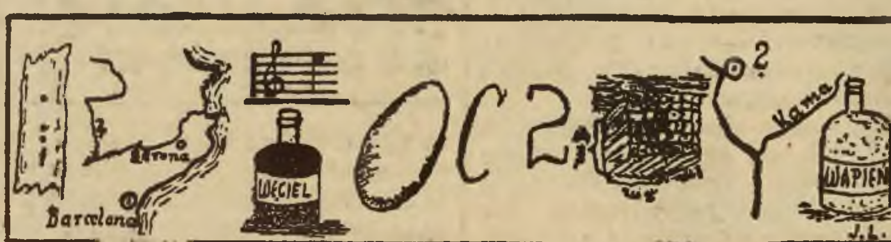
Pan Aureli... starszy pan z charakterystyczną bródką, zawadjacko podkręconym wąsem i faljstą czuprzyną.. Wszędzie go pełno, na obchodach zebraniach, uroczystościach.

W dzień otwarcia teatru Skarbkow-

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Rebus

(ułożył „John Ly")



Proszę odczytać cztery wyrazy.

* * *

Szarada

Z cyklu: „Strofy miłosne"

IV.

(napisała „Junona" Warszawa)

Słowa twe **dziewięć** jak słodka trucizna
dla ust, dyszących pragnieniem!
Do bezsilności niełatwo się przyznać,
lecz jej w moc ducha nie zmienię!
Osiem mnie idzie grzech słodkich pokuszeń, —
czwór-trzecia będzie rozprawa!
Wiem, że nie zwalczę, choć walczyć z nim muszę —
więc strach me serce napawa.
Raz-dwa, czy wygra — ja nie wiem dziś jeszcze,
lecz jak dzwon bije rozchwiany!
Czwór-piąta trudna przenika mnie dreszczem,
lecz czekam... własnej przegranej!
Chcę z **siódmą-ósmą-dziewiątą** się zmierzyć,
choć wiem, że na nic wysiłek!
Zbyt **trzy** przegranej mnie samej zależy,
zbyt klęski takie są miłe!
Trudna to **druga!** Gdy **siedem** ciemności
sześć dali blask lśni różany,
jak zmóc żar pragnień, gdy w sercu zagości?
jak ujść tej zorzy świetlanej?
Raz-sześć mrok duszy zmęczonej zmaganiem
dreszcz przemknął i wzniósł pożogę!
Szept własny słyszę: „Już dość! Niech się stanie!
Z tobą zwyciężyć nie mogę!..."

* * *

Cykl szaradowy: „Kobieta"

(Napisał „John Ly")

3. SZARADA

Adam był smutny, bo był sam...
A choć są w raju różne **trzecie-szóste**
i ziemskich czarów pełen kram,
byłby się w szerszy świat gdzieś wyrwał z gustem...
Coś się buntuje w nim i rwie...
Widząc **wtór-trzecie** i **czwarte** u zwierząt,
dziwi się: — czemuż tylko mnie
odmienną miarą w tym ogrojcu mierzą?
Jakiejś tęsknoty słodkiej kwiat
dwa-trzy się w nim — kwiat cudny i mocarny.
— Prawda, że pełen dziwów świat,
lecz bez **trzy-piątej-szóstej** świat ten marny...
Wśród tych rozmyślań sen go zmógł
w cieniu drzewiastej **raz-szóstej** Edenu.
Zbudził go ból i rzekł doń Bóg:
— Z boleści swej masz antidotum spleenu.
Tak ongiś całe stały się
raz jeden w raju za boskim wyrokiem.
A ludzie stąd wnioskują źle,
że żony mężom wciąż wyłażą bokiem.

* * *

Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

— — tet, — — wa, — — tość, — — ry, — — ka, — — ta, — — ta, — — ga, — — tyk.

W miejsce kresek należy powstawiać odpowiednie zgłoski, tak, aby powstało dziewięć wyrazów trójzgłoskowych.

Środkowe zgłoski tych wyrazów czytane kolejno dadzą rozwiązanie.

Zgłoski do wstawienia:

Bu, fa, ju, ka, ka, ko, ko, kro, ła, ma, mi, na, no, sto, szo, war, wian, za.

* * *

Szarada

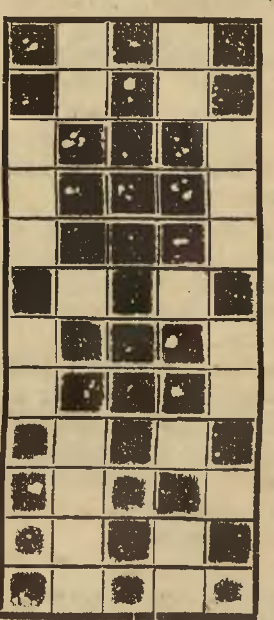
(napisała Helena Mokrzycka, Drohobycz)

Pierwsza-druga cudna **trzecie** leśnej głuszy,
Szyszki kryształowe stroją białe jodły,
Wiatr srebrne płateczki; miecie, sieje, prószy.
Szum płynie po lesie niby ciche modły.
Drzewa w **drugiej-siódmej** śniegu zda się duchy
Fantastyczne kształty, olbrzymy, tytany!
W czwartej-piątej — szóstej-siódmej śnieżne puchy.
Ukryty las stary, bór zaczarowany.
Na **drugiej i piątej** zacisznej polanie,
Stąpają buńczucznie królewskie jelenie:
Zgrabne i płochliwe, obok samców łanie.
Po chwili wieczorne wchłonęły je cienie.

* * *

Logogryf

(ułożyła Stan. Krzy-cka)



W rządki poziome proszę wpisać dwanaście wyrazów 5-literowych o niżej podanem znaczeniu. Litery w kratkach zaznaczonych, czytane trzema rzędami od góry do dołu, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) uderzenie (z niemiec.), 2) skręć w bok!, 3) łódź sportowa, 4) brak (w języku obcym), 5) szeroki krótki nóż, 6) połowa imienia ostatniego króla Longobardów, 7) znana z frontu włoskiego rzeka wpadająca do Adrjatyku (wspak), 8) produkt zwierzęcy o przenikliwej woni (ż-z), 9) osławiony herszt w rzezi galic. w roku 1846, 10) miara ciężaru, 11) król polskich cyganów, 12) miejsce zapasów.

* * *

Termin nadsyłania rozwiązań: **środa, 6 lutego**. Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

—x—

ROZWIĄZANIA Z Nr. 13

Szarada miłosna: Senne majaki.

Szarada: Szaradomanka.

Logogryf-palindrom: 1) Atlas(skoki), 2) Grom (miara), 3) Mada (imię), 4) drab (piewca), 5) port (ślad), 6) barok (statek), 7) Atenom (pieniądz), 8) gonim (ryba), 9) atom (pląta), 10) rugi (imię), 11) Nora (imię), 12) kara (napój), 13) karuk (ptak) = Kamila pali mak.

Szarada: Tajemnica.

Arytmograf: Lalka, płuca, kalka, praca, fajka, różny, kreda, bajka, credo, ważka, wnuki, konik, bliny, pluta = „Lulajże Jezuniu".

—x—

Rozwiązania nadesłali

ze Lwowa pp.: Eug. Dworski, Wład. G., Stan. Krzywobłocka, Roman H. Sigma, „Biały Ceś" Wanda Wolańska, Irka, Arja, Jł Kwiczoł, R. Wit., Eugene, Zetel, Fr. Goldowa, J. O., Bron. Ostrowski, M. Zygmuntowicz, Hel. Kowalska, Eug. Boczarska, M. Ruxerówna, Cecylja Kubalanka, „Tato Krzysia", Marja Dworska, Wanda Smolicka, Józ. Koberwein, Zofja Kiernicka.

Warszawy pp. J. Alis, B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski, N. K. Kozłowski, N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyński, W. Nowicki.

z prowincji pp. J. Wilkowa (Rzeszów), „Tom" (Rzeszów), Tad. Dworski (Sanok), M. Potocka (Sanoczek), Czesław Murczyński (Kraków), M. Kański (Kraków), Władysław Sokołowicz (Przemyśl), Kazim. Jurkiewicz (Śniatyn), Artur Kierkorowicz (Zakopane), Irena Senze (Żychlin), M. Alexandrowicz (Delatyn), ks. Józef Welc (Kraków), Tadeusz Żeglicki (Dębica), Hel. Mokrzycka (Drohobycz).

Nagrodę uzyskał **p. Czesław Kozłowski, Warszawa. Książkę wysyłamy.**

—x—

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Engene. Dziękujemy zamieścimy.

H. M. Jedno pójdzie. „Łamigłówka" wadliwa konstrukcja, prosimy o odpowiednią poprawkę.

Fr. G. Zamieścimy kolejno. Ładne i pomysłowe.

J. O. Owszem, bierze pan udział w losowaniu. Prosimy o bliższy adres dla naszej informacji.

Wład. G. Tylko przeoczenie zecera, za które bardzo przepraszamy! Nie wpłynie to ujemnie na ogólną „notę".

M. A. Del. Zagadki w podobnym układzie były niedawno zamieszczone w jednym z dzienników, wobec czego nie możemy ich powtarzać. Nową zagadkę umieścimy.

Tad. Ż. Przyznajemy po części rację. Trzeba jednak liczyć się z „rutynowanymi" szaradzistami, domagającymi się właśnie trudniejszych zadań. Ten wysoki poziom naszego działu jedna nam właśnie wciąż nowych przyjaciół. Nie trzeba się zrażać, raczej przysyłać rozwiązania niekompletne. A co do „djablików", to plaga powszechna. Walka z nią ciężka, przy gorączkowem tempie pracy w dzienniku. Za życzliwe uwagi dziękujemy.

Zofja K. Zamieścimy w nast. numerze.

—:—:—

C. k. gimnazjum św. Jacka

w powieści Z. Nowakowskiego i w naświetleniu „Kurjera Porannego"

Zachęcony niewątpliwie powodzeniem „Przylądka Dobrej Nadziei" wydał obecnie utalentowany pisarz krakowski, Zygmunt Nowakowski, nową książkę „Rubikon", w której opisuje dzieje tych samych bohaterów, tylko o kilka lat starszych.

Książka, nosząca po części charakter autobiografii, przynosi szereg interesujących obrazków z przedwojennego życia gimnazjum krakowskiego. Trzeba ją traktować jako utwór powieściowy, w którym autor, dla wydobycia zamierzonego efektu, pozwala sobie na rozmaite to bardzo swobodne licencje.

Są to rzeczy do usprawiedliwienia, o ile idzie o samą konstrukcję i wartość czysto artystyczną powieści i trudno mieć do autora o to pretensje. Poszedł po tej samej mniejwięcej linji, co w „Przylądku"; mieszając rzeczywistość i własne przeżycia z fantazją pisarza.

Ale w danym wypadku wchodziły w rachubę i inne, znacznie ważniejsze momenty, z którymi autor — niestety — nie liczył się zupełnie. Bo w „Rubikonie" bohaterem jest szesnastoletni chłopiec, uczeń krakowskiego gimnazjum. Tego gimnazjum, do którego Nowakowski faktycznie uczęszczał, a które w powieści, dzięki tej jego licencji, przedstawione zostało we wklęsłem zwierciadle satyry.

Po przeczytaniu ostatniej strony „Rubikonu" pozostaje w duszy uczucie żalu i niesmaku. Ma się wrażenie, jakoby to „c. k. gimnazjum" było conajmniej taką samą katorgą dla młodzieży polskiej, jak szkoły rosyjskie w Król. Polskiem, jakoby zespół profesorów wszystkie swe wysiłki koncentrował raczej w ogłupianiu ucznia, w bezwzględnem ściganiu wszelkich żywszych porywów, w zabijaniu wszelkiej indywidualności i inicjatywy, w śledzeniu „prawomyślności" politycznej i społecznej.

I to domaga się sprostowania.

* * *

Można darować Nowakowskiemu wszystkie mniej lub więcej udane, choć miejscami przesadnie nieprawdopodobne „kawały" studenckie. Można mu wybaczyć dowcipy z „przejściem Wisły" czy z „mezaljansem dyrektora", — traktując je jako dowcipy czysto książkowe, miłe ożywiające całość.

Zgodziłbym się nawet na typy układnych „lizusów", typy nieśmiertelne; i dziś aż nazbyt często, niestety spotykane. Nie razi zbytnio nawet taki Rogowski, zahipnotyzowany modną podówczas przybyszewszczyzną, czy „racjonalista"; Żyd; Lilienthal. W takim konglomeracie jakim jest klasa, wszystkie podobne typy są możliwe.

Ale idzie mi o zupełnie fałszywe i tendencyjne przedstawienie całego milieu, całego ducha panującego w tem gimnazjum.

Tak się złożyło, że przez ośm lat byłem właśnie uczniem tego samego „c. k. gimnazjum" św. Jacka. I przedewszystkiem stwierdzić muszę, że typ takiego ks. Dudy jest poprostu nie do pomyślenia w tym zakładzie. Katecheta zakładowy, — a miałem ich dwóch kolejno — to była najpiękniejsza, najszlachetniejsza może postać. Człowiek rozumny, wyrozumiały na błędy i wybryki młodzieży, podający jej ochoczo rękę w każdej potrzebie, któremu można zarzucić raczej wszystko inne, niż obskurantyzm i zacofanie.

Grono profesorskie, to ludzie światli, dobrzy pedagogowie. Jeżeli ten lub ów miał swoje śmiesznostki czy wady, to są to rzeczy tak naturalne i powszechne w tym ciężkim zawodzie, że nie można z tego kuć żadnego zarzutu.

A najważniejsze: każdy z nich był i czuł się szczerze Polakiem, każdy — pod mundurem „c. k. profesora" miał serce polskie, każdy w miarę swych sił i możności dbał o to, by młodzież, opuszczając mury zakładu, stała się pożyteczną cząstką społeczeństwa polskiego, narodowo uświadomioną.

Tak było w II gimnazjum w Krakowie, tak było też niewątpliwie i w innych c.k. gimnazjach byłej Galicji. Dowody? Czyż ich brakuje? Czyż ci byli wychowankowie austrjackich zakładów naukowych nie zajęli i nie zajmują dotąd najwybitniejszych miejsc w życiu naukowem, społecznem i politycznem narodu? Czyż nie z „c.k. gimnazjów" wyszła młodzież lwowska, te pędraki 12 — i 14 letnie, co krwią własną broniły polskości Lwowa?

I dlatego twierdzę, że książką swą skrzywdził Nowakowski niesłusznie a bardzo boleśnie c. k. gimnazja austrjackie, w których — mimo ostrej kontroli władz austrjackich — krzewił się bujnie duch gorącego patrjotyzmu, dzięki rozumnej, trudnej a nieraz i niebezpiecznej pracy grona nauczycielskiego.

* * *

Krzywda to tem większa, że już znalazły się dzienniki polskie, które rzecz tą wyzyskują skwapliwie w swoisty zaprawdę sposób.

Oto pierwszy pospieszył z obszerną recenzją warszawski „Kurjer Poranny". Z jakąś nieukrywaną satysfakcją rozpisuje się o „dusznym i trującym klimacie tej szkoły, którego ślady znajdowaliśmy u podstaw naszego niepodległościowego bytu"!

Oblicze tej szkoły — twierdzi „Kurjer Poranny" — jest rewelacją dla tych wszystkich, którzy szkołę galicyjską znali jedynie na odległość, przez kordon graniczny...

Rewelacją, powiada... Owa szkoła, która „kładła się z poza owego grobu cieniem na naszem życiu"...

Oto wnioski, do jakich dochodzi recenzent „Kurjera Porannego" na podstawie „Rubikonu". Wnioski, obliczone coprawda na kompletnie bezkrytycznego czytelnika, który nigdy w życiu (prawdopodobnie tak samo jak i ów rezenzent) szkoły takiej nie widział.

Nie zaszkodzi opinji galicyjskiego gimnazjum tego rodzaju artykuł. Ale musi się mieć słuszny żal do Nowakowskiego, że przez fałszywe zobrazowanie tego gimnazjum umożliwił wyciągnięcie z jego powieści podobnych wniosków.

Bo nawet w powieści pisarz nie może stosować metody „poprawek historycznych" dla tych czy innych celów!

K. Rychłowski.

POSTULATY POLSKIEGO RADJA

Artykuł mój pt. „Rozmyślania świąteczne przy głośniku", zamieszczony na tem miejscu przed paru tygodniami, wywołał żywy oddźwięk wśród radjosłuchaczy. Dowodem tego są liczne listy z rozmaitych stron kraju listy, których autorowie częściowo solidaryzują się z wysuniętemi postulatami, częściowo zaś komunikują mi swoje spostrzeżenia i dezyderaty.

Toteż rad jestem, że artykuł ten dał asumpt do otwarcia dyskusji publicznej i przyczynić się może w drobnej mierze do wprowadzenia pewnych zmian i ulepszeń w naszej radjofonji, do wyjaśnienia rozmaitych wątpliwości a może i do zaradzenia niejednemu złu.

Opierając się na tym materjale, pragnę omówić parę zagadnień w listach tych poruszonych.

* * *

Jest rzeczą notoryczną, że najpopularniejszym, — bo najtańszym — typem odbiornika jest detektor, względnie wprowadzony przez P. R. „detefon". Otóż posiadacze tych detefonów z prowincji, i to niezbyt dalekiej, bo z okolic Tarnopola, Delatyna, Stanisławowa, żalą się, że nie mogą zapomocą detefonu odbierać audycyj ze Lwowa! Ten i ów amator - technik przeprowadza na własną rękę pewne ulepszenia, uzupełnienia... Odbiera inne stacje, ale Lwów milczy stale!

Niewątpliwie idzie tu o tzw. „martwą strefę", zjawisko dobrze znane, a nieuniknione. Przypuszczam, że dział techniczny P. R. sprawę tę odpowiednio wyjaśni. Ale samo wyjaśnienie nie wystarczy. Trzeba coś radzić, trzeba wskazać, w jaki sposób słuchacze ci mogliby wreszcie odbierać i Lwów, najbliższą stację w ich zasięgu.

* * *

W związku z powyższem stoi druga, nie mniej ważna sprawa. To kwestja tanich odbiorników lampowych, na wzór tak popularnych w Niemczech „Volksempfänger".

Odbiornik taki, zdolny odbierać conajmniej wszystkie stacje krajowe i kilka ważniejszych zagranicznych, musi ceną swą być dostosowany do dzisiejszych warunków finansowych olbrzymiej większości naszego społeczeństwa. Cena ta nie powinna przekraczać 50—60 złotych (co przy masowej produkcji nie wydaje mi się rzeczą niemożliwą), a sprzedaż odbywałaby się za pośrednictwem P. R. w spłatach ratalnych. Możnaby ją rozłożyć na jakie 12 rat, — a byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdyby aż do zupełnej spłaty ceny kupna abonament miesięczny został obniżony np. o połowę.

W ten sposób możnaby zdobyć szybko dziesiątki tysięcy nowych abonentów, i to abonentów stałych i pewnych.

* * *

W całej Europie zaznacza się zupełnie wyraźnie tendencja obniżenia ceny radjoodbiorników przy równoczesnem ich udoskonaleniu.

Świadczą o tem zeszłoroczne wystawy radjosprzętu w Wiedniu, Berlinie, Paryżu, Brukseli, Londynie.

Wszędzie widziało się aparaty tanie, w cenie około 100 złotych — i one właśnie cieszyły się ogromnem powodzeniem. Fabrykanci robili złote interesy, a transakcje szły w dziesiątki tysięcy.

Czy więc nie byłoby wskazanem urządzenie podobnej wystawy w Warszawie i wystąpienie na niej z nowym typem taniego aparatu, w guście niemieckiego „Volksempfänger"?

Dzisiaj o klienta nie łatwo. Trzeba go szukać, trzeba wyjść do niego, rzeba go czemś zainteresować. Ale to „coś" musi być i tanie i dobre. — co jest możliwem tylko przy masowej produkcji.

A teraz inna, ogólniejsza sprawa. Rzućmy okiem na mapę radjofoniczną Europy: gdzie spojrzeć, same potężne stacje nadawcze, o sile od 50 do 500 kw. (Moskwa).

Nasz „olbrzym raszyński", już dawno znalazł godnych konkurentów w Lipsku, Wiedniu, Pradze, Budapeszcie, Londynie...

Rozbudowało się potężnie radjo we Włoszech, Francja jest w trakcie gruntownej reorganizacji i rozbudowy swej sieci.

Niemcy mają Wrocław z 60 kw., Hamburg ze 100 kw., Królewiec ze 60 kw., nie mówiąc o innych, słabszych stacjach.

A Sowiety? Ci radjoamatorzy, co lubią wieczorami urządzać sobie podróż po eterze, znają doskonale te wszystkie Kijowy, Charkowy, Odessy, Leningrady, czy Moskwy, słyszalne doskonale prawie o każdej godzinie wieczoru czy nocy...

Zaprawdę, łatwiej jest późnym wieczorem złapać jakąś Tuluzę czy Tryest lub Hamburg, niż Poznań, Toruń, — nie mówiąc już o... Krakowie.

Bo gdzież tym naszym liliputom o sile 2 czy choćby 15 kw. mierzyć się z tamtymi kolosami?

* *

Spojrzyjmy na tę sprawę z szerszego stanowiska, pod kątem widzenia polityki i stosunków międzynarodowych. Zgadzamy się w tem wszyscy, że radjo może i powinno być świetnym instrumentem międzynarodowej wymiany myśli i międzynarodowej reklamy.

Reklamy w tem znaczeniu, iż tą drogą możemy podzielić się z obcymi naszemi dobrami intelektualnemi, zapoznać ich z naszym dorobkiem na polu twórczości muzycznej, z naszym — jakże ciekawym i mającym dla Zachodu posmak egzotyzmu — folklorem.

A równocześnie uprzytomnijmy sobie, że właściwie — poza Warszawą żadna prawie radjostacja polska nie dociera na falach eteru do słuchaczy zagranicznych. Szczególniejszego znaczenia nabiera ten fakt, o ile idzie o naszych bezpośrednich sąsiadów ze wschodu i zachodu.

Nie mamy tu na myśli jakiejkolwiek propagandy politycznej, zresztą niedopuszczalnej wedle konwencyj międzynarodowych, — lecz propagandę kulturalną, propagandę polskiej myśli i twórczości artystycznej.

Dlatego coraz bardziej piekącą i aktualną staje się sprawa rozbudowy naszych stacyj prowincjonalnych, z których niektóre przynajmniej, jak Wilno, Katowice, Kraków, Lwów, powinne posiadać moc jakich 50 kw.

Wiemy, że byłby to wydatek poważny, — ze względów jednak zasadniczych, dla podtrzymania prestiżu P. R. i dla celów propagandowych potrzebny. Musimy iść w ślady innych państw pomni przysłowia, że „wer rastet, — rostet".

* *

Łączy się z tem zagadnienie programów poszczególnych stacyj. Tutaj bierzmy sobie przykład z innych państw europejskich. O ile idzie np. o wymianę programów radjowych między poszczególnemi państwami, — to w pierwszej linji wchodzą w rachubę audycje, pozwalające obcemu słuchaczowi zapoznać się z folklorem, muzyką ludową, śpiewami itp.

Jednem słowem — audycje regjonalne, wnoszące coś nowego w szarzyznę standartowych niemal koncertów, jednako brzmiących w Sztokholmie, czy w Medjolanie lub w Brukseli.

Konfiguracja naszego kraju, długie otwarte granice od wschodu, północy i zachodu, wielki obszar, przy słabem stosunkowo (na wschodzie) zaludnieniu, sprawiają, iż dążyć powinniśmy do nadania radjostacjom jaknajdalej idącej autonomji.

Każda niemal połać naszego kraju, w której znajduje się radjostacja, ma swój własny, odrębny typ, ma inne zainteresowania, inny skład ludności, ba, nawet poczęści odrębną kulturę.

Nie wystarczy jej Raszyn. Nie można „centralizować" audycyj. Bo jakież wspólne zainteresowania mogą mieć Poleszuk i robotnik śląski lub rybak kaszubski?

Czy zebrani w domu ludowym wieśniacy zechcą słuchać potrafią ocenić piękno muzyki operowej z medjolańskiej La Scala — a rzemieślnik schylony nad warstatem w Nowogródku delektować się ma koncertem symfonicznym z Filharmonji warszawskiej?

Trzeba na te rzeczy patrzeć realnie. Radjo nie może zostać rozrywką dla ludzi zamożnych, o wyrobionym smaku artystycznym i dużej kulturze, — lecz musi stać się niemal „artykułem pierwszej potrzeby", jak chleb.

I właśnie ten zdrowy, prosty chleb dać się musi najszerszym warstwom. Chleb, który lepiej im smakuje, niż najwyszukańsze dania, obliczone na wybrednych smakoszy.

Więc — doceniając zupełnie znaczenie Centrali Warszawskiej — jesteśmy zdania, że rozbudowa P. R. winna obejmować:

1) Wydatne wzmocnienie siły poszczególnych stacyj regjonalnych.

2) Nadanie im szerokiej autonomji, przy szczególnem uwzględnieniu regjonalizmu.

3) Wypuszczenie na rynek taniego typu odbiornika lampowego.

A rezultaty nie długo każą na siebie czekać. LUCY

—:—:—

Czy dobrze jest mieć radjo w aucie?

Nad kwestją tą zastanawiają się oczywiście nie u nas, gdzie ilość samochodów jest znikomo mała, ale we Francji, Belgii, Szwajcarji... Bogaci właściciele luksusowych aut pragnęliby je wyposażyć we wszystkie przedmioty, służące wygodzie i rozrywce. I stąd wyłoniła się myśl, aby zaopatrzyć auta w urządzenia radjowe. Właściciele wielkich firm samochodowych europejskich zastanawiają się poważnie nad problemem wypuszczenia serji wozów zaopatrzonych w aparaty radjowe.

Obywatel, odbywający codziennie dość daleką drogę ze swojej willi przedmiejskiej do biura w centrum miasta, nie będzie się nudził po drodze, słuchając koncertu lekkiej muzyki albo też przysłuchując się ostatnim wiadomościom podanym przez radjo. Nie będzie mu się dłużył czas, gdy zmuszony będzie czekać przed spuszczoną rampą kolejową na przejazd pociągu. W czasie postoju na wycieczce i śniadania spożywanego w cieniu drzew pasażerowie auta będą mieli dodatkową rozrywkę, słuchając muzyki radjowej.

Ale wyłoniły się objekcje i zarzuty. Opozycjoniści i sceptycy mówią: „Kierowca auta w czasie jazdy musi mieć całą uwagę skupioną, aby uniknąć wypadku. Czy przysłuchiwanie się produkcjom radjowym nie będzie dla niego powodem roztargnienia a przez to i przyczyną możliwego wypadku?"

Znawca problemów zarówno radjowych jak i autowych, dziennikarz francuski p. Lucjan Chretien odpowiada na to — nie wchodzimy w to czy nie w porozumieniu z działem prasowym firm automobilowych: „Ruchy kierowcy auta muszą być pewne i zautomatyzowane. Chwila roztargnienia nie śmie przerywać obowiązkowego ich łańcucha. Gdy siedzę przy kierownicy i mój sąsiad mówi do mnie, to grzeczność wymaga, abym mu dał odpowiedź. Wymaga to uwagi z mej strony, skupienia, namysłu. Ale z radjem rzecz ma się inaczej. Nie wymaga ono odpowiedzi i nieznaczny ruch wystarczy, aby skłonić je do milczenia. Gdy radjo mówi, towarzysze wycieczki radjowej słuchają i powstrzymują się od rozmowy. Radjo więc jest mi raczej pomocą, niż przeszkodą. Możnaby więc postawić twierdzenie, które dziś wydaje się paradoksem, ale może nie będzie nim jutro, że liczba wypadków samochodowych będzie się zmalała w miarę gdy będzie wzrastała ilość wozów mających aparaty radjowe".

Tak mówi specjalista w tych kwestjach. Doświadczenie i statystyka pokażą czy miał rację. (W.)

Radjo w filmie dźwiękowym

Radjo i związane z niem efekty są coraz częstszymi gośćmi na terenie filmu dźwiękowego. Autorzy i reżyserzy filmowi bowiem zdają sobie coraz lepiej z tego sprawę, że radjo, zręcznie użyte w filmie, czyni wielkie wrażenie. Motyw polegający na tem, że postać filmowa słyszy ale nie widzi, stanowi dźwięczny podkład wielu konfliktów psychicznych i może dawać również dobre techniczne rezultaty.

„Gift of Gab" oto tytuł wielkiego filma wytworzonego przez firmę „Universal" Pictures", który niedawno temu został ukończony i który, jak dotąd, stanowi rekord na polu współdziałania kina z radjem. Występuje w nim bowiem nie mniej niż trzynaście głośnych amerykańskich gwiazd radjowych. Obok tego występuje w tym filmie 18 wybitnych aktorów teatralnych, 15 sław kabaretowych i blisko 1.000 statystów. Główne role grają Gloria Stuart i Edmund Lowes. Motywy radjowe wplecione są tu w akcję i radjo, odgrywa tu rolę aktywnego czynnika, łączącego ze sobą poszczególne motywy fabuły.

Również we filmie „Sen radjowy", wyprodukowanym na podstawie powieści głośnego humorysty Marka Twaina „Amerykanin na dworze króla Artusa" stanowi radjo czynnik utopijnej fantazji sięgającej w przyszłość — również we filmie Foxa „Nadajemy słońce" z Warnerem Baxterem w głównej roli odgrywa radjo wielką rolę. Jednem słowem, kino i radjo współpracują w ostatnich czasach coraz częściej i coraz ściślej. (w.)

Ze świata książki

Vicki Baum: Jape im Warenhaus (wyd. Książnica - Atlas, Lwów — Warszawa). Jest to dłuższa nowela popularnej pisarki niemieckiej, odpowiednio skrócona i zaadoptowana do użytku starszej młodzieży szkolnej.

Treścią jej, przeżycia młodego czeladnika szewskiego, zahipnotyzowanego niemal widokiem pięknej jedwabnej krawatki w oknie wystawowem. Nie mogąc przyjść w posiadanie tej krawatki drogą legalną, zakrada się do wnętrza domu towarowego i tam przeżywa okropną, ostatnią w swem życiu noc, pełną tragicznych wypadków.

Nowelka odznacza się zwartą konstrukcją, umiejętnem stopniowaniem napięcia dramatycznego oraz pogłębieniem psychologicznem. Mimo niezaprzeczonych dużych zalet nie wydaje się jednak lekturą odpowiednią dla młodzieży. A już naprawdę trudno zgodzić się z podaniem na końcu dziełka tematami do opracowania, jak np. zorganizowanie w klasie przewodu sądowego, z mowami prokuratora i obrońcy i ewentualnym wyrokiem. „Zabawa w sąd", to zabawa dla młodzieży niebezpieczna i niezbyt wskazana.

—x—

skiego pod nową dyrekcją Komitetu „Przyjaciół Sceny Narodowej" wygłasza długi prolog na cześć „Żywego słowa" którego kapłanką jest „Sztuka Narodowa".

A w wolniejszych chwilach pracuje nad przekładem poezyj Heinego, napróżno szukając nakładcy... Aż znalazł go w Złoczowie, u Żyda Zuckerkandla.

Zewnętrzny wygląd charakteryzował doskonale naturę i usposobienie Urbańskiego. Człowiek to był o niespożytej energji, pełen wigoru mimo podeszłego już wieku. W pięćdziesiątym siódmym roku życia idzie po raz drugi w konkury. I właśnie, gdy gotował się do ślubu, zapowiedzianego już na niedzielę, — na trzy dni przed wyznaczoną datą zmarł nagle, dnia 13 czerwca 1901 roku. Śmierć zaskoczyła go w nocy. Jako przyczynę śmierci ustalił lekarz sklerozę.

* * *

Dorobek literacki Urbańskiego przedstawia się wcale pokaźnie: 26 utworów scenicznych, parę tomików poezyj, tom szkiców (Z za kulis i ze świata) i wspomniany już wyżej przekład Heinego (Romancero).

Wszystkie prawie utwory te pokrył już dziś pył zupełnego zapomnienia, — czy to będą komedje (Podlotek. Wojna z kuzynkiem, Huragan, Pochód z pochodniami i in.), czy rzeczy poważne, jak Serce i dusza, Ziemowit, Watażka, Autorka.

Nas więcej interesuje jego Trylogja z 1861—1863 roku na którą składają się dwie krótsze rzeczy: „Na poddaszu" i „Dramat jednej nocy", oraz pięcioaktowa „rzecz dramatyczna": „Pod kolumną Zygmunta".

„Na poddaszu", to poemat dramatyczny o wyraźnej tendencji społecznej, a tematem jego jest zdrada sprawy narodowej przez młodego robotnika. Ze samem powstaniem styczniowem rzecz ta nie ma właściwie żadnego związku.

Tożsamo powiedzieć można i o „Dramacie jednej nocy", mającym jednak silne efekty sceniczne i dającym parze artystów sposobność do popisania się w dwóch czołowych rolach.

„Pod kolumną Zygmunta", to rzecz zakrojona na szerszą skalę. Ale pomyślana zupełnie niefortunnie, o fabule naiwnej, niemożliwie naciąganej. Czegóż tam niema? Jeden krąg, jedno zaczarowane koło konfliktów między miłością Ojczyzny, a miłością osobistą: Bohater Gustaw kocha — idealnie szlachetną żydówkę Jahelę, do której pała interesowną brudną miłością szpieg. żyd Rubin, a w której ponadto kocha się szlachetny pułkownik rosyjski Siergiej. A jakby i tego jeszcze było za mało, Gustawa prześladuje swą namiętną a bezwzajemną miłością podstarzała hrabina Aleksja, Rosjanka, siostra pułkownika.

Co więcej — właściwymi bohaterami sztuki, których autor stale wysuwa na plan pierwszy, są... żydzi, szlachetny dostojny starzec Natali i jego córka. [illegible]wa Jahela.

Urbański w ostatnim akcie wykorzystuje tu nawet motyw. obrabiany już poprzednio przez innych pisarzy (Karola Balińskiego, Zygmunta Felitowicza): w czasie pamiętnej demonstracji pod kolumną Zygmunta każe Natalemu podjąć krzyż i z tym krzyżem w ręku zginąć — dla wielkiej wspólnej sprawy.

Pomijając już bardzo nikłą wartość artystyczną całego dramatu, jego wady kompozycyjne i naiwność fabuły, — stwierdzić trzeba, że z samem powstaniem styczniowem nie ma on właściwie nic wspólnego. Błąkają się w nim echa romantyzmu, a postaci Natalego i Jaheli rażą sztucznością i egzaltacją.

Można rozumieć szlachetną tendencję Urbańskiego, który w dramacie tym chciał pokazać nam zespolenie „chłopskiej" siermięgi i żupana żydowskiego" w służbie dla wspólnej Matki — Ojczyzny. Toż w usta Natalego wkłada takie słowa:

i nam i wam wydarto Ojców ziemię
i nas i was z torbami w świat za oczy
wyroki pędzą srogie...
Tyś nas do swego przygarnęła łona,
jak matka... Oto przy twojem ognisku
spoczął Izrael wolny i bezpieczny...

Ale właśnie przez takie postawienie sprawy „Pod kolumną Zygmuunta" traci wszelką wartość historyczno - literacką. Zostaje próbą nieudolną i ciekawym przyczynkiem do poznania charakterystyki twórczości A. Urbańskiego. (k. r.)

—x—

Alchemja dawniej a dzisiaj

„...młodzieńcze, który szukasz poznania, badaj, dociekaj i eksperymentuj, nie ustając w pracy a tysiąckrotne owoce, będą twym plonem"...

„...badacz nie powinien nigdy poddawać się zwątpieniu. Jeśli dąży do poznania, znajdzie je jednak nie przez studjum ksiąg, lecz studjum (badanie) samej przyrody.."

(Wyjątki z dzieła pt. „Summa perfectionis" — pochodzącego z XIII w.)

Niejednokrotnie spotykamy się w różnych czasopismach, z artykułami na temat przemiany metali w złoto. Od czasu do czasu większem echem odbije się w prasie nazwisko jakiegoś „odkrywcy", który nietylko, że wynalazł



Pracownia alchemika z XVI wieku.

sposób robienia złota, ale chce go opatentować itp. Te i tym podobne przykłady nie należą do nowych, lecz są stare jak świat, a narodziły się z chwilą, gdy człowiek zaczął oceniać wartość żółtego metalu — złota. Większość tych poszukiwaczy złota, kamienia filozoficznego — inaczej panaceum, rekrutowała się z oszustów i szarlatanów, żerujących na ludzkiej naiwności, głupocie i zachłanności. Reszta zaś, — to ci, którzy naprawdę w badania swe włożyli duszę i postanowili dręczącą ich zagadkę istoty wszechświata - pramaterji rozwiązać.

Jedni zaś i drudzy, stali się twórcami „hermetycznej wiedzy" — zwanej inaczej alchemją.

Minęły wieki. Z mrocznych i ponurych komnat średniowiecznego alchemika, pełnych tygli, kości ludzkich i zwierzęcych, pełnych dziwacznych zielsk i naczyń wypełnionych tajemniczemi płynami, oraz grubych foljałów ksiąg z magicznemi formułami, przeszła alchemja (potępiona zresztą w drugiej połowie XIX w. i nazwana przez chemika Koppa — „dziejami błędu") do widnych i dużych sal laboratorjów fizycznych i chemicznych, gdzie odżyła na nowo, już nie jako „nauka błędu" lecz jako nauka prawdziwa, rozporządzająca szeroką skalą wiedzy przyrodniczej, bogata w środk. badawcze, precyzyjne narzędzia i instrumenty. oraz oparta na ścisłej krytyce naukowej ludzkiego rozumu, wolnego od średniowiecznych zabobonów.

To dzisiejsza chemja i fizyka, które to nauki śmiało możemy nazwać mianem współczesnej alchemji.

Średniowieczne badania nad panaceum, wielkim eliksirem i kamieniem filozoficznym, zamieniły się dziś w badania nad możliwością transmutacji pierwiastków, w badania nad istotą materji i stanowią dziś wielką gałąź po-

zostałość średniowiecznych alchemików, uważać możemy jedynie tych, którzy rozporządzając pewnym zasobem wiedzy, starają się wykorzystać swe wiadomości w ten sposób, by osiągnąć dla siebie jak największe zyski. przy pomocy różnych sztuczek.

Tacy „badacze" istnieli zawsze i będą istnieć do końca świata, choć dziś już nikt prawie nie zwraca na nich uwagi.

Wracając do tematu, chciałbym przeprowadzić w najogólniejszych zarysach taką paralelę między alchemją średniowieczną a alchemją współczesną. Jeżeli wglądniemy w historję alchemji średniowiecznej, i odrzucimy nazwiska tych alchemików - szarlatanów, którzy badania swe opierali wy-

tężnej wiedzy przyrodniczej. Jako połącznie na kabale i magji. to zobaczymy, że główną cechą alchemji była obserwacja i doświadczenia, (eksperymenty), na których też opiera się współczesna fizyka i chemja. Zacytowane na początku artykułu, wyjątki z dzieła pochodzącego z XIII w. pt. „Summa perfectionis" — są dowodem tego twierdzenia.

Dalej — tacy średniowieczni alchemicy jak Geber (prawdopodobnie autor wspomnianego dzieła), Raymundus Lullus, Basilius Valentino i in. posługiwali się w swych badaniach i doświadczeniach nietylko dziwacznemi i tajemniczemi miksturami, ale też używali kwasu solnego, siarkowego, potasu, sodu, różnych soli itp, z tem, że doświadczenia ich były obciążone przesądami i magicznemi formułami, co oczywiście wpływało mocno na niedokładność doświadczeń, a nawet na ich niedorzeczność.

Pozatem wielki wpływ na całokształt nauk przyrodniczych wywierała filozofja Arystotelesa, której doktryny były niewzruszone i przyjęte bez zastrzeżeń bezkrytycznie. Ponieważ — wedle Arystotelesa — można było przez zmianę cech materji, stworzyć ciało innego gatunku, stąd też obecnie rozważana transmutacja pierwiastków, (a nawet udane doświadczenia) były przedmiotem badań średniowiecznej alchemji, opierającej się też na magji. Z czasem jednak, w miarę postępu nauk przyrodniczych, autorytet Arystotelesa zwolna słabł, doktryny jego, orzekające, iż podłożem materji są cztery żywioły: ziemia, powietrze, ogień i woda nie trafiały do przekonania alchemików, którzy doszli do wniosku, że podłożem materji muszą być substancje, nie dające się dalej rozłożyć chemicznie, — substancje, które można oznaczyć jedynie na podstawie długich i systematycznych badań.

Pierwszym wyrazicielem tego rewelacyjnego poglądu, obalającego filozofję Arystoteelsa, był Joachim Jungius (XVII w.), drugim — Robert Boyle. Tego ostatniego nazwać możemy ojcem atomistyki, bowiem od jego czasów, zwłaszcza ukazania się jego dzieła pt. „The Sceptical Chymist", alchemja średniowieczna — jak to się mówi — wzięła w łeb, a nauki fizyczne i chemiczne weszły na właściwą drogę.

Trudno byłoby mi w jednym artykule przedstawić systematyczny rozwój nauk chemicznych i fizycznych, a zwłaszcza rozwój naukowych poglądów na istotę i budowę materji, wspomnę tylko, że szczeblami rozbudowy atomistyki, były dwa etapy. Pierwszy — który dokonał się prawie wyłącznie na polu nauk chemicznych, począwszy od alchemicznych dociekań nad odkryciem kamienia filozoficznego, empirycznych praw; „zachowania masy", „prawa stałych i wielokrotnych stosunków objętościowych i wagowych". teorji Daltona, hipotezy Avogadry, tablic perjodycznego układu pierwiastków Mayera, Lothara i Mendelejewa, — i drugi etap rozwoju atomistyki, który dokonał się w dziedzinie nauk fizycznych, opartych o eksperymentalne doświadczenia nad przewodzeniem elektryczności przez gazy, elektrolize, doświadczenia i badania promieni katodowych, doświadczenia fotoelektryczne i badanie ciał promieniotwórczych i t. d.

Te dwa etapy nauk chemicznych i fizycznych, w uzupełnianiu się dały podstawę nowoczesnej alchemji. Dociekania średniowiecznych alchemików nad kamieniem filozoficznym, przyoblekły się dziś w realne kształty. Bo czyż nie możemy nazwać kamieniem filozoficznym lampy katodowej, dzięki której powstał cud XX wieku — radjo?

Jak już wspomniałem, historja potępiła średniowieczną alchemję na podstawie ujemnych wyników jej zdobyczy naukowych, ale nie wolno nam zapominać o jednem — o tem, że alchemja dała podstawę do nowoczesnych badań na polu chemji i fizyki, co więcej — nauczyła nas eksperymentować, była impulsem do badań dociekań, stała się podwaliną nowoczesnej alchemji.

Tajemna nauka szukania i zdobywania panaceum, czy kamienia mądrości, urzeczywistniła się w laboratorjach fizyko - chemicznych XX wieku, czy to w postaci komórki fotoelektrycznej, selenowej itp. Czy „boską sztuką" nie możemy nazwać telewizji?

Gorączkowa chęć średniowiecznych alchemików, zamiany różnych metali (zwłaszcza rtęci i ołowiu) na złoto, czy nie urzeczywistnia się w pracowniach Rutherforda. Penetha i Petersa? Marzenia średniowiecznych badaczy „wielkiego eliksiru" odżywają dziś w badaniach ciał i pierwiastków promieniotwórczych (o czem pisałem wyczerpująco w art. p. t. „Rozbijacze atomów").

Miejsce Basillusa Valentina. Tycho de Brahe, Lullusa, Gebera, Theofrata Paracelusa, Dschafarema, Arystotelesa i wielu innych, zajęli: Miethe, Rutherford, Peneth i Peters, Nagaoka, Riesenfeld, Glauber, Tiede i in., którzy zajmując się badaniem ciał promieniotwórczych, możliwością transmutacji pierwiastków, są wielkimi magami współczesnej alchemji. opartej o ogromne zdobycze nauk przyrodniczych. szeroką wiedzę i ścisłą krytykę naukową ich poczynań.

Tadeusz Kwaśniewski

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Jednem z drobnych, a ważnych akcesorjów stroju kobiecego stał się pasek. Do sukienek sportowych pasek ze skóry krokodylej, najczęściej w kolorze naturalnym lub bronzowym. Do skromnej ciemnej wełnianej sukienki pasek biały z błyszczącego lakieru.

Do sukien wieczorowych paski z celofanu, lub szerokie metalowe, artystycznie nieraz cyzelowane.

— Przykazaniem mody jest, by pasek, rękawiczki i torebka wykonane były z tego samego materjału, lub przynajmniej harmonizowały ze sobą kolorem. Bardzo ładnie wygląda taki komplet z czarnej antylopy, przybrany klipsami z czarnego galalitu.

— Jako przybranie toalet wieczorowych stosuje się chętnie i w dużym zakresie futro, we formie obrzeżenia dekoltu, czy wąskich pasków naszytych u dołu spódniczki, czy wreszcie nawet długich szarf, udrapowanych dokoła dekoltu a spadających na plecy aż do linji pasa. Można też widzieć strojną suknię wieczorową z długiemi, luźnemi rękawami z drogich gatunków futer.

— W zestawianiu kolorów panuje duża, niewidziana dotąd swoboda. Nie razi dziś np. zupełnie kombinacja kolorów czerwonego i zielonego, przez długi czas niemal wyklęta. Wraca do mody delikatny kolor różowy. Nie przyjął się natomiast lansowany na progu sezonu kolor „Tulipe noire"; jako zupełnie „nietwarzowy".

— Stebnowanie, czyli ścieg maszynowy „piqué" znajduje coraz szersze zastosowanie. Stebnuje się nietylko kołnierzyki, mankiety i kieszenie, — ale i kapelusze, staniki, torebki, całe suknie a nawet płaszcze wieczorowe.

— Z Wiednia przychodzi nowa moda — kwiatów sztucznych, sporządzonych z własnych, wyczesanych włosów. Kwiaty takie, wykonane artystycznie, wpina się do fryzury!

— Wielkie magazyny Berlina wystawiają już nowe modele, mające reprezentować nową, własną modę niemiecką. Dajemy dziś rysunek najbardziej charakterystycznej, „stylowej" sukni: rozszerzona silnie ku dołowi spódnica czarna, — do tego bluzka z różowej moirée, jakby wykrojona z żurnału z przed jakich 30 lat! Nie zdaje nam się, aby moda ta przyjęła się gdzieś poza Berlinem...

— Najczęściej widuje się przy sukniach wieczorowych dekolt w kształcie carré, otoczony riuszką lub falbanką. Przy sukniach stylowych — dekolt z czasów drugiego Cesarstwa, ramiona obnażone.

— Rękawy długie, szerokie, bufiaste u dołu, a wąskie stosunkowo u góry, stają się charakterystyczną ozdobą sukni balowej, stosowaną tem chętniej, że można je zmieniać dowolnie do jednej i tej samej sukni, nadając jej każdorazowo zupełnie inny wygląd.

Tak np. widzieliśmy czarną jedwabną suknię z rękawami ze srebrnej lamy, innym razem rękawy te były z czerwonej tafty, to znów z różowego tiulu.

— „Cape" i pelerynki, unoszone tak chętnie przy sukniach wieczorowych, cieszyć się będą dużem powodzeniem na wiosnę, przy sukniach, kostjumach i paltach.





Elegancka suknia z czarnego jedwabiu w złote kropki i ze złotym paskiem

Bielizna kobieca

Najmodniejszemi materjałami na elegancką bieliznę kobiecą są zawsze crepe de Chine i crepe satin. Krój bielizny prosty, nie ukośnie, jak to było w ubiegłym sezonie.

Pamiętać musimy, że do podkreślenia falistej linji sylwetki kobiecej przyczynia się w niemałym stopniu i „dessous", t. j. nasza odpowiednio dobrana bielizna.

Spódnice sukien wieczorowych, z reguły dość wysoko rozcięte u dołu, wymagają krótszych nieco kombinacyj. Natomiast do szerokich stylowych sukien nosi się długie halki z tafty, ozdobione u dołu plisowanemi falbankami w kolorze sukni lub w kolorze jej przybrania.

Do sukien wciętych niezbędny jest długi gorset, obciskający całą figurę, — wtedy dopiero bowiem można uzyskać pożądaną harmonję linji całej sylwetki.

Biżuterja wieczorowa

Któraż z pań nie lubi klejnotów, dodających tyle świetności i blasku każdej toalecie?

W tym sezonie, kiedy sala balowa skrzy się od lśniących materjałów jak złote i srebrne lamy, barwne tafty, atłasy i veloury naszywane pailletkami, — niebrak również i klejnotów: kolczyków, naszyjników, bransolet, diademów..

Sytuacja jest o tyle ułatwiona, że wracają do mody klejnoty naszych prababek, znakomicie harmonizujące ze stylowemi kostjumami, do których wzory zaczerpnięto z rozmaitych epok.

Trzeba jednak mieć poczucie smaku, by dobrać klejnoty, odpowiadające ściśle danemu stylowi; najmniejsze niedopatrzenie wywołać musi zupełnie niepożądany i chybiony efekt.

Do sukien skromniejszych tego rodzaju biżuterja nie nadaje się zupełnie.

Szklane suknie

Nowość tę wprowadziła jedna z wielkich firm paryskich. Jest to mianowicie suknia sporządzona ze specjalnej tkaniny jedwabnej, nasyconej szklanym płynem.

Materjał taki, przedziwnie lśniący, zachowuje jednak swą miękkość i elastyczność.

Tak oto realizuje się na sali balowej bajka o szklanej sukni i szklanych pantofelkach... Brak tylko królewicza z bajki.

Ekscentryczna ta moda przeminie zdaje się, bardzo szybko. Materjał ten bowiem jest bardzo drogi i mimo wszystko niepraktyczny.

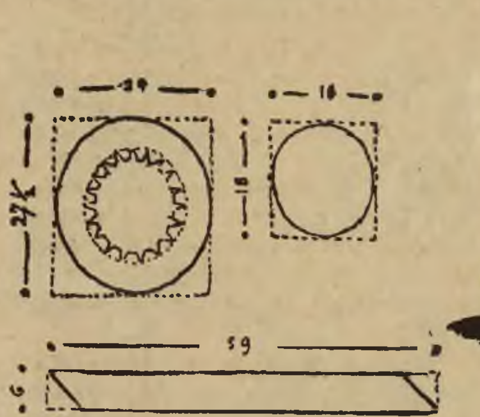
Nakrycie do śniadania

Kontrast nakryć śniadaniowych z szarego płótna, z ludowym barwnym haftem, używanych na wsi, a nakryć w mieście jest bardzo widoczny. Te ostatne robimy z cienkiego, przeźroczystego batystu — nie koniecznie białego, można zastosować i pastelowy n.p. różowy — haftując w delikatny wzór, powtarzający się na dużej serwecie i na małych serwetkach. Bardzo modnym kształtem serwetki jest prostokąt, z zahaftowanym małym prostokątem po środku i do tego okrągłe serwetki wokół haftowane.

Nawrót do piór

Paryż już lansuje pierwsze modele kapeluszy na sezon przejściowy, — przedwiośnie. Modele oryginalne przez to, że przeważnie sporządzane w całości z kosztownych piór.

A więc zgrabne toczki z odpowiednio ułożonych strusich piór, wracają już znowu słynne „rajery", widzi się maleńkie berety z opadającem łagodnie z boku długiem strusiem piórem. Jednem słowem — moda wiosenna stoi zdecydowanie pod znakiem piór.





Chociaż u nas jeszcze „północ lodem dmucha", już zaczynają się ukazywać pierwsze modele kapeluszy „demi - saison", na okres przedwiośnia. Nadchodzi zdaje się moda kapelusików o płaskiem rondzie i wysokiej główce, przyczem najpowszechniej używanym materjałem będzie tafta pikowana, — zarówno w jednolitym kolorze, jak i w desenie.

Dajemy dziś krój takiego kapelusza. Potrzeba na to 1.35 mtr. tafty, tyleż jedwabiu na podszycie oraz spaterji na sporządzenie stelażu.

Jak widać z dołączonych szkiców można osiągnąć różne, ładne efekty, zależnie od wybranego materjału i od przybrania, — czyto wąską wstążką z kokardką, czy piórami lub kwiatami.

PRAKTYCZNY KĄCIK

Perfumować bieliznę można bardzo łatwo dodając parę kropel ulubionej perfumy do wody, którą skrapiamy bieliznę przed prasowaniem.

Plamy z atramentu na drzewie usuwa się z łatwością, zmywając je szmatką zamaczaną w occie lub w rozczynie kwasu szczawiowego.

Przedmioty zardzewiałe czyści się mieszaniną oliwy z naftą w stosunku 1:2. W razie potrzeby nacieramy przedmioty tą mieszaniną i pozostawiamy je tak przez czas dłuższy, poczem wyciera się je miękką wełnianą szmatką.

Brudne gąbki czyści się w sposób następujący: Dwa gramy sody rozpuszczamy w litrze ciepłej wody. W płynie tym zanurzamy gąbkę, wyciskając ją kilkakrotnie. Jeżeli jest bardzo brudna, można dodać parę kropel amonjaku.

Woda nie powinna mieć ponad 50 st. Po oczyszczeniu wkładamy gąbkę celem wybielenia do 2% rozczynu kwasu szczawiowego, a następnie przemywamy czystą wodą.

Jedwabne chusteczki najlepiej prać we wodzie, do której dodajemy wyciśnięty sok ze surowych kartofli.

Sok ten utrzymuje miły, specyficzny połysk jedwabiu, a nie działa szkodliwie na kolory.

Z WYDAWNICTW

„To co najmodniejsze" nr. 2 daje dużo ładnych modeli sukien od najskromniejszych do balowych, — oraz kilka ładnych a tanich kostjumów na zabawy karnawałowe dla dzieci.

Miłośniczki sportów zimowych znajdą oryginalne modele kostiumów narciarskich, praktyczne mamusie cenne wskazówki co do wyboru odpowiedniego stroju dla dzieci.

Pozatem dużo materjału informacyjnego z dziedziny szycia, kosmetyki, dodatek powieściowy, oraz tablice kroju (pyjama męska).

„Ja to zrobię" zeszyt II. przynosi długi szereg projektów i wzorów na praktyczne i ładne roboty, jak mereżki, serwety, frendzle, szaliki, obrus kościelny, hafty, ząbki itp.

Znajdujemy w nim dalej sprawozdanie z urządzonej niedawno wystawy „Ja to zrobię", oraz dalszy ciąg artykułu o „stylu umeblowania."

Całość bardzo ciekawa i urozmaicona.

—x—